



№ 43.

Prenumerata w Warszawie:  
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,  
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 24 paździer. 1868 r.

Prenumerata na prowincyi i w ce-  
sarstwie w osobnych kopertach:  
kwartalnie rs. 3 1/2.

TOM II.

Treść numeru. Antoni Popliński (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Rozmaitości. — Przegląd polityki zagranicznej. — Mąż upatrzony, powieść z życia w dwóch częściach, p. Jana Zacharyasiewicza (dalszy ciąg, z pięcioma drzeworytami). — Przegląd teatralny. — Przejazd przez szczyty Kaukazu, skrócił Kaźmirz Łapezyński (dalszy ciąg). — Rysunki humorystyczne (drzeworyt). — Szachy. — Rebus. — Przegląd piśmienniczy. — Silni i słabi, powieść (dalszy ciąg).

## Antoni Popliński.

Zawód pedagogiczny, nauczycielski tyle uciążliwy a często niewdzięczny, rzadko kiedy zyskuje powszechne uznanie.

Jeżeli przytém człowiek poświęcający się temu zawodowi jest z natury swój cichy i skromny, to zwykle prace jego pokrywa milczenie i zacne przysługi bywają przepominane.

Podobny los spotkał zmarłego na początku bieżącego roku Antoniego Poplińskiego, o którym wszystkie nowsze historie literatury zaledwie wspomniały, lub zupełnie go pominęły.

A jednak był to człowiek nieposłedniej zasługi, niezwykłej w piśmiennictwie działalności, w niejednym razie zaszczytnie w nióm przodujący.

Nauczyciel sumienny i gorliwy, autor szeregu dzieł szkolnych, z których młode pokolenie czerpało, a nawet dotąd czerpie, pierwsze wiadomości naukowe; przytém drukarz, księgarz, wydawca i bibliotekarz uczony, pracowity i we wszystkim odznaczający się — pod wieloma względami zasługuje na wspomnienie.

Życie jego wśród nieustannej pracy upłynęło bez rozgłosu, którego sam unikał, nie chcąc aby o nim mówiono i pisano.

Z trudnością nawet, i to w ostatnich dopiero latach, zezwolił najbliższej rodzinie na fotograficzne odwzorowanie swój postaci, w dwóch tylko egzemplarzach, zalecając usilnie, aby je wyłącznie dla siebie zachowała.

Ta powściągliwa skromność była i dla nas niemałą zawadą, iż wcześniej nie mogliśmy podać wizerunku męża tyle zasłużonego w szkole i literaturze i przypomnieć stratę jaką poniosło piśmiennictwo z jego zgonem.

Antoni Popliński urodził się w w. ks. poznańskim

1797 roku w Popłomykach pod Ostrowiem. Pierwsze wiadomości naukowe, wraz z rodzonym swoim bratem Janem, podobnie znakomitym autorem, po-

sposobiwszy się należycie do studyów uniwersyteckich, obrał sobie stan nauczycielski i udał się do Berlina na wydział matematyczny. Po złożeniu egzaminów i uzyskaniu patentu nauczycielskiego, otrzymał Popliński za powrotem do kraju posadę we Wschowie, przy szkole wydziałowej przygotowawczej, i tam zostawał do roku 1826. Powołany do gimnazjum poznańskiego, objął z początku język łaciński, następnie zaś, po Józefie Muczrowskim i Józefie Królikowskim, język i literaturę polską, które aż do wzięcia emerytury w r. 1850 wykładał w klasach wyższych.

Wszakże nie w samym tylko nauczaniu osobistém, nacechowaném właściwą mu energią, talentem i sumienném pełnieniem obowiązków, leży zasługa Antoniego Poplińskiego. Pedagogiczna działalność jego stała się daleko większą i donioślejszą przez to głównie, że był autorem wielu dzieł szkolnych, które przyjęte zostały powszechnie do wykładu nauczycielskiego.

Dzieła te, znane i dotąd używane, odznaczające się w wysokim stopniu taktem pedagogicznym i gruntowną znajomością przedmiotu, stawiają go w liczbie najcenniejszych polskich pedagogów.

Pierwszą w tym rodzaju książką były wypisy niemiecko-polskie p. t. *Beispielsammlung zur Einübung der poln. Sprache*. Poznań 1834; potem *Gramatyka łacińska większa*, podług Zumpta, tamże 1835; także mniejsza i jeszcze mniejsza dla klas niższych i średnich wielokrotnie przedrukowana, jako będąca dotąd w użytku. W dalszym ciągu nastąpiły wyborne jego przewodniki: *Elementarbuch der polnischen Sprache, zum Gebrauch der Schulen*, Poznań

1838, książka która doczekała się ósmiu wydań; *Wybór prozy i poezji polskiej*, trzykrotnie przedrukowany; *Przykłady do tłumaczenia z łacińskiego na polskie i z polskiego na łacińskie, do etymologii łacińskiej gra-*



Antoni Popliński. (Podług nadesłanej fotografii).

biętał w szkołach kaliskich, wówczas pod zwierzchnictwem sławnego pedagoga ks. Przybylskiego zostających. Ukończywszy je zaszczytnie, w r. 1816 wstąpił do gimnazjum poznańskiego, w którym przy-



matyki zastosowane, dwie części na sekste i kwintę podobnie często przedrukowywane; *Geografia podług Sellena*, kilka razy przez autora przerabiana; *Dzieje starego i nowego testamentu*; *Katechizm*; nakoniec *Historja powszechna dla klas niższych szkół realnych i gimnazjalnych*, na wzór Weltera ułożona w 3ch tomach i kilku wydaniach, która pod względem czystości języka, jasności wykładu i trafności w podaniu faktów do pojęcia młodocianych umysłów zastosowanych, jest jednym z dzieł najlepiej po polsku napisanych.

Niemniej ważną była jego działalność i na innem polu. Jemu, Józefowi Łukasiewiczowi, oraz bratu Antoniego, Janowi, zawdzięcza Poznańskie obudzenie ruchu literackiego po r. 1834. Jan Popliński, nauczyciel literatury i języka polskiego w gimnazjum w Lesznie, zmarły w r. 1839, dał ku temu popęd, zakładając *Przyjaciela ludu*, pierwsze pismo czasowe ilustrowane polskie. Niezadługo potem Antoni wraz z Łukasiewiczem, urządziwszy drukarnię i księgarnię w Poznaniu, rozpoczęli wydawać *Tygodnik literacki*, a następnie *Oreodownika naukowego*, czem się niemało przyłożyli do ożywienia literatury, szczególnie w piśmiennictwie czasowem. Z ich to drukarni wyszła znaczna część wydań Edwarda Raczyńskiego, że tu wspomniemy tylko znakomitą Bibliotekę klasyków łacińskich, Wspomnienia Wielkopolski i. w. i., oraz wszystkie prawie szacowne dzieła Łukasiewicza, liczne książki treści religijnej, moralnej, tudzież wiele dzieł naukowych, bądź oryginalnych, bądź tłumaczonych.

Gdy Józef Łukasiewicz, pierwszy bibliotekarz księgozbioru Raczyńskich, opuścił to miejsce i został wiejskim gospodarzem, ważną po nim posadę przyjął Antoni Popliński i zajmował ją od r. 1856 aż do śmierci. I na tém stanowisku, mimo dotkliwych cierpień fizycznych, mimo podeszłego wieku, zdołał także przysłużyć się literaturze, przez ułożenie i ogłoszenie zupełnego katalogu dzieł i rękopisów, znajdujących się w bibliotece imienia Raczyńskich. Praca zmusna i ogromna, a dla bibliografii nieoceniona.

W ostatnich czasach dwukrotnie rażony paralizem, smutne na łożu boleści przepędzał lata, zapomniany od świata, za którym nigdy się wprawdzie nie ubiegał, ale na takie zapomnienie i opuszczenie nie zasłużył. Śród przywiązanej tylko rodziny zakończył pożyteczne zawsze dla drugich życie w Poznaniu dnia 19 marca 1868 roku. — Cześć jego pamięci!

## Kronika tygodniowa.

W chwili obecnej najbardziej poszukiwaną przez Warszawian rozrywką jest teatr.

Ponowiły się dawno niepamiętne czasy natłoku przy kasie, bilety zamawiane bywają na kilkanaście dni przed widowiskiem i słycać co chwila uzalania się na ich brak.

Tych cudów dokazała pani Modrzejewska, która każde swoje wystąpienie uświetnia nowem powodzeniem.

Tych wystąpień mamy jeszcze sześć zapowiedzianych, bo podobno na dwudziestego listopada pani Modrzejewska zmuszoną jest wyjechać do Krakowa, gdzie ją wiąże kontrakt zawarty z tameczną dyrekcją.

Niewiadomo nam dotychczas napewno, czy artystka ta, po wywiązaniu się z warunków umowy jaką w Krakowie zawarła, pozostanie stale już na naszej scenie. Krążą o tém rozmaite wieści.

Jedni utrzymują że pani Modrzejewska teraz już przedłuży swój pobyt, powiększając o kilka jeszcze szeregi zapowiedzianych wystąpień; inni twierdzą że jakkolwiek wyjedzie w oznaczonym terminie, na przyszły rok powróci tutaj, żeby w gronie artystów warszawskich zająć już stałe miejsce; inni nareszcie, że podzieli czas swój i pracę na dwie połowy, przebywając sześć miesięcy w Warszawie, a drugimi sześcioma miesiącami rozporządzając według swojej woli i dogodności.

Naturalnie dla Warszawy pani Modrzejewska poświęciłaby w takim razie sześć miesięcy sezonu zimowego, który, jak wiadomo, najkorzystniejszym jest dla przedstawień teatralnych.

Otóż gdyby nam wolno było zrobić także kilka

uwag w tym przedmiocie, to protestowalibyśmy przeciwko takiemu podziałowi czasu. Teatr musi żyć i istnieć nietylko w zimie, ale i w lecie także. I w lecie ponosi on też same koszta utrzymania i oświetlenia sali, i w lecie musi wypłacać pensje artystom oraz licznyemu oficyalistom do składu jego wchodzącym, a chociaż dochód w tój porze znacznie się uszczupla, wydatki ani na jotę nie stają się mniejszemi.

Ztąd pochodzi, że letnie miesiące pochłaniają cały zarobek zimowy, który nieraz nie starczy nawet na zapalenie tój luki, jaką upały wyrządzają w kasie obu teatrów.

Owóz w zimie ratować się łatwo. Każda nowa sztuka zapełnia kasę teatralną, a byleby miała jakie takie powodzenie, to na cztery lub pięć pełnych widowisk z pewnością można rachować. Bywały nawet takie, co tę liczbę przeciągały do dziesięciu i więcej. Zresztą nie potrzeba nawet nowój sztuki. Drukowane na afiszu nazwisko ulubionego artysty, występującego w sztuce starój już i ogranój należyście, jest magnesem ściągającym publiczność do kasy, i bywały przykłady że w zimie zbrakło biletów na utwory po kilkadziesiąt razy już grane i które cała niemal warszawska publiczność umie na pamięć.

Nie potrzeba więc w zimie czynić żadnych nadzwyczajnych wysiłków, żeby stawić czoło trudnościom ułożenia repertoaru. Systematyczne przedstawianie dwóch conajmniej nowych sztuk na miesiąc, przeplatane dawnymi, które chwalebnie próbę swoją odbyły, wystarczy na to w zupełności.

Ale w lecie zato postać rzeczy zmienia się zupełnie.

Oprócz wstępu jaki w tój porze uczuwa każdy do miejsc zamkniętych, w których gazowe światło zdwaja jeszcze upał na dworze panujący, teatry muszą jeszcze wytrzymywać współzawodnictwo przechadzek różnego rodzaju i widowisk na świeżem powietrzu.

A pamiętać trzeba i na to, że liczba publiczności, zwłaszcza w tych warstwach, w których widowie teatralni się rekrutują, znacznie wtedy jest przerzedzoną i to samo już wpływa na mniejszą sprzedaż biletów.

Nawet nowa sztuka nie wabi, nawet nazwiska ulubionych artystów nie przynęcają. Toż samo widowisko, które w zimowój porze napewno prawie da się powtórzyć kilka razy z rzędu, w lecie i na raz pierwszy nie zapełni sali.

Na lato więc zachować należy wszelkie wysiłenia i przynęty.

Dla sztuki i artysty lato jest właściwie kamieniem probierczym, a powodzenie letnie nie przeszkadza wcale sukcesom zimowym, kiedy przeciwnie te ostatnie nie dają dostatecznego na lato zapewnienia.

Jeżeli więc nowa komedia, dramat lub opera, jeżeli wystąpienia znakomitej śpiewaczki lub artystki, mają przysługę oddać teatrowi, to ta przysługa w lecie wyświadczona, staje się rzeczywistą i korzystną w istocie. Jest to do tego stopnia prawdziwem, że w teatrach w których istnieją stałe urzędnictwa pod względem praw autorskich i stosunku autorów z dyrektorami, sztuka która czyni jednę trzecią pełnego dochodu w lecie, nadaje prawo autorowi do żądania jój powtórzenia, podczas kiedy w zimie toż samo prawo przysługuje tylko takim sztukom, które dwie trzecie dochodu osiągają.

Ta ogromna różnica w oznaczonych prawem cyfrach, stanowi najlepszy dowód stosunku jaki pomiędzy letnią a zimową porą istnieje i jest zarazem najpewniejszą wskazówką punktu z jakiego zapatrywać się należy na powodzenie sceniczne.

Otrzymaliśmy od jednego z tutejszych właścicieli domów list następujący.

Panie kronikarzu.

Pozwól że do twojego artykułu o właścicielach domów i lokatorach, w zeszlój kronice zamieszczonem, dołączę z mojej strony parę uwag.

Ogólny okrzyk oburzenia na stopniowe podrożenie lokalów, jaki od pewnego czasu rozlega się po całym dziennikarstwie naszym, nie dozwalał dotychczas beznamiętnie obu stron wysłuchać.

A jednak jeżeli lokatorowie mają prawo w pewnym względzie zaliczyć się na właścicieli (nie wszystkich), to

i tym ostatnim nie braknie także powodów do skargi.

Kilka z nich wytknąłeś w swojej kronice, ale mogę dodać jeszcze do nich argumenta na własnym doświadczeniu oparte.

Oto fakt, za którego rzeczywistość ręczę podpisaniem imienia i nazwiska, które kładę pod listem dla twojój wiadomości.

Posiadam dom wychodzący na dwie ulice, jednę pryncypalną, drugą trochę mniej uczęszczaną.

Owóz w oficynie domu mojego na tę drugą ulicę wychodzącą, mieszka kilku pomniejszych lokatorów, którzy dotychczas niebardzo punktualnymi okazali się w wypłatach.

Mniejsza zresztą już o to, jeżeli w końcu odbiorą się pieniądze chociażby kapaniną; ale dwóch z pomiędzy tych panów uznało za stosowne zupełnie oswobodzić się z komornego, bo jeden z nich od dwóch lat za dwa kwartały tylko zapłacił, drugi zaś wcale nie płaci.

Wszelkie upomnienia się, nawet kroki prawne, nie pomagały; zająć też nie było czego, ci panowie bowiem, doświadczeni już widać w tym względzie, obwarowali się najdoskonalej i mają prawne dowody, że sprzęty i wszystko co się w ich lokalach znajduje, nie do nich należy.

Nie było więc sposobu odebrania mojej należności; ale co gorsza, chociaż postanowiłem oddawna już zrobić ofiarę z zaległej opłaty jaka mi od nich przypada, nie miałem sposobu pozbyć ich się z domu.

Ostatecznych kroków prawnych wahałem się użyć, a żadne perswazyje ani groźby nawet nic nie pomagały.

I zgadnij też do jakiego w końcu musiałem się uciec środka.

Oto jednemu z tych panów pożyczylem (naturalnie na wieczne oddanie) piętnaście rubli, drugiemu zaś dwadzieścia i tym dopiero sposobem uwolniłem się od rezydentów jaką sobie u mnie założyli.

Opowiadam fakt rzeczywisty, pozostawiając każdemu wolność wysnucia z niego uwag, jakie mu się podoba uczynić.

D.

\* \* \*

List ten, który zapewne będzie balsamem na rany jakie panowie właściciele domów od prasy peryodycznej otrzymywali, zamieściłem tutaj z pewną obawą.

Czytelnicy gotowi mnie posadzić o kupno domu i przemawianie skutkiem tego we własnej swojej sprawie.

Więc klęę się na Apolina, patrona wszystkich piszących, który wygnany z Olimpu, musiał paść trzody, przygrywając im na fujarce, a nie mógł myśleć o zakupieniu domu, bo nie miał na to funduszu, że jestem lokatorem tylko, i lokatorem, jak się zdaje, całe życie moje pozostanę.

Ale bezstronność nakazywała mi dać swobodę głosu stronie obżałowanej.

Obecnie zaś, dopełniwszy obowiązku sumienia, porzucam już tę kwestyę, w której doprawdy ostatnie słowo z trudnością dałoby się wypowiedzieć.

\* \* \*

Oto ciekawa rozmowa pomiędzy wierzycielem a dłużnikiem, którzy przypadkiem zdybali się na ulicy, zamieszczona niedawno w *Figarze* paryżkim.

*Wierzyciel.* A moje tysiąc złotych?

*Dłużnik.* Prawda, twoje tysiąc złotych, zapomniałem o nich.

*Wierzyciel.* Więc dobrze że ci je przypomniał. Kiedyż mi oddasz tę sumkę? Już termin tyle razy minął.

*Dłużnik.* Jakoś mi ciężko zebrać się na to.

*Wierzyciel.* No, kiedy ci tak ciężko, to wolę już rozdzielić należność na dziesięć miesięcy, ratami po sto złotych; przysłaż ratę uiścisz na pierwszego, i tak dalej. Czy zgoda?

*Dłużnik.* Zgoda.

W parę miesięcy spotykają się znowu.

*Wierzyciel.* Zdaje mi się że już dwie raty przypadają, a ty jeszcze żadnej nie uiściłeś.

*Dłużnik.* Prawda, nie uiściłem.

*Wierzyciel.* I kiedyż to będzie?

*Dłużnik.* Ależ ja nie myślę ci wcale płacić tój należności.

*Wierzyciel.* Jakto?



*Dłużnik.* Widać zbyt było ci przykro tracić tysiąc złotych od razu rozłożyłeś je na raty. Tym sposobem ubywa ci tylko po sto złotych miesięcznie, więc strata będzie mniej bolesną.

\* \* \*

Od pewnego czasu mowa wiazana kwitnie.

W pismach peryodycznych co chwila spotkać się można z różnemi wierszami; wychodzą ich nawet osobne zbiorki, toczą się o nie polemiki i t. p.

Otoż jedna następcza się nam uwaga.

W wierszach o których mowa, a zdarzają się pomiędzy niemi i zasługujące na uwagę, zwłaszcza pod względem formy, czuć się daje jakiś sceptycyzm, wydrwiwiający prawe i czyste uczucia serc nieskazanych.

Poeta opiewając wdzięki modrookich i czarnokich bogiń, zaleca im nowego rodzaju pojęcia moralne, dające się streścić mniej więcej w tych wyrazach:

„Porzucisz ojca i matkę, a pójdziesz za kochankiem“.

I te rzeczy rzucają się na papier tak sobie, śmiało, bez namysłu, jakby orzech zgryzł.

A papier cierpliwy przyjmuje to wszystko i przy pomocy czcionek drukarskich puszcza na świat te chwalebne idee.

Doprawdy, zapytać przychodzi, gdzie u licha czerpie się natchnienie do utworów podobnego rodzaju i jakim sposobem może komu przyjść na myśl oblekać te brzydoty w błyskotliwe szaty frazeologii poetycznej.

I przedtém śpiewano także o miłości, bo struna sercowa najłatwiej dźwięczy w młodym poetycznym organizmie, ale inaczéj pojmowano to uczucie i wyrażano je inaczéj.

Jeżeli to ma być oryginalność, to wolelibyśmy się z nią nie spotykać.

Ten mormonizm poetyczny żadnym sposobem ostać się u nas nie powinien. To już nie Bajron, nie Heine i Alfred de Musset nawet, ale jakby jaki wierszowany ustęp z zaraźliwej literatury końca osiemnastego wieku, z pominięciem zbyt szorstkich wyrażań.

Jeżeli to istotnie reminiscencya ze złych czytań takiego układacza stroftek, to niech się stara zapamiętać o tém, z czém się zapoznawać nie był powinien; jeżeli zaś wypływa to z natury jego talentu i z przekonania jego moralnych, to radzilibyśmy mu talent i przekonania zamknąć gdzie na cztery klucze, bo doprawdy nie ma się z czém popisywać.

## Rozmaitości.

*Stan handlu w Warszawie do końca zeszłego wieku.*

Handel, jak naucza historia, wiąże się ściśle z cywilizacją i wraz nią rozkwita. U nas działo się przeciwnie, cywilizacją mieliśmy rozwiniętą, a nie było rodzimego stanu handlowego.

Stało się to z przyczyny, że klasa uprzywilejowana, która była jedynym większym konsumentem, sama sobie pod tym względem wystarczała, zamieniając swobodnie i bez pośredników produkta krajowe na zagraniczne.

W tym stanie rzeczy kupiectwo miejscowe wzrosnąć po miastach nie mogło, lub istniało w szczerpłym zakresie i przez cudzoziemców było prowadzone.

Handel w Warszawie od najdawniejszych czasów skupiał się w rynku Starego miasta. Tu były jedynie sklepy korzenne i winne, prowadzone przez Włochów i Niemców, bławatne przez Ormian i Turków, innych towarów przez Greków i Szkotów. Żydom handel był wzbroniony. Oprócz materyj tureckich i perskich, broni damasceńskiej i wyrobów ze złota i srebra, sprowadzanych przez Ruś ze Wschodu, Gdańsk dostarczał nam korzeni, kawy, cukru, cytryn i wszelkich bakalij, win francuzkich, hiszpańskich i t. p., wódek i likierów, marcepanów, niemniej obić pokojowych, mebli wytwornych i gospodarskich, zegarów ściennych, szafastych i wieżowych, wyrobów z żelaza, stali, mosiądzu i miedzi, sreber stołowych i cynowych, pojazdów, zabawek dla dzieci, sukna zagranicznego i t. d.

W domu pod Nr. 163 przy ulicy Nowomiejskiej był główny skład tego rodzaju towarów sprzedawanych hurtownie, i ztąd dom ten nazywano *Gdańską piwnicą*, miano które mu dotąd pozostało.

Z Wrocławia sprowadzano meble i zwierciadła, wódki przepalane i lekkie towary niemieckie; z Torunia przywożono pierniki, kapelusze, rękawiczki i wszelkie wyroby zamszowe; z Norymbergi tak zwane krótkie towary, ołówki, scyzoryki, nici, szpilki, igły, koronki, medaliki i obrazki.

Ze Szlązka i z Frankfurtu nad Odrą mieliśmy płótna, dymy, kamloty. Za panowania obu Sasów sprowadzano z Drezna porcelanę, a po śmierci Augusta II skład jej znaczny otworzony został w pałacu Saskim od Krakowskiego przedmieścia, w środku zaś pałacem niejaki Fluchtбай, Sas, otworzył magazyn płócienek, obrusów, serwet, tasiemek i t. p. z fabryk saskich pochodzących. Także handel był blisko Żelaznej bramy u pani Herklowej. Później krótki towar saski rozmnożył się w sklepikach po mieście i dotąd saskim się nazywa.

Od czasu panowania Stanisława Augusta nastąpiły i w kupiectwie znaczne zmiany. Handel w Warszawie inną nabrał postać i zbliżył się do znaczniejszych miast europejskich. Synowie kupców warszawskich, wykształceni za granicą, a nawet szlachta, obierała sobie stan handlowy, który nowym wzorem prowadzić zaczęto. Odwiedzano Lipsk i dalsze miasta niemieckie, angielskie i francuzkie, handlem słynące z któremi stosunki zawiązywano i kredyt sobie zapewniało.

Zwolna ze Starego miasta przeniosły się sklepy na Krakowskie-przedmieście i ulicę Miodową, którą już w r. 1770 zdołał piękny rząd magazynów, urządzonych na sposób zagraniczny.

Zaczęli słynąć kupcy: Rafałowicz, Kornaszewski, Jaziewicz, Masłowski i t. d. Warszawianie Rezler i Hurtig wzniesli piękny dom handlowy, dotąd kamienicą Rezlera mianowany, w którym mieściły się składy najwytworniejszych i najróżnorodniejszych towarów. Zamożnym i nader obfitym był także magazyn Jaziewicza, używający długiej u modnego świata wziętości. Niemniej były słynne sklepy bławatne Józefowicza i Jakubowicza, a towarów wschodnich Paschalisa.

Za rządu pruskiego handel wszedł na inną nieco drogę. Dawniejsi kupcy, upatrując większy zysk w nabywaniu dóbr nieruchomych, kładli swe kapitały w ziemię i zostali rolnikami; nowi, po większej części Niemcy, otwierali najwytworniejszych i najróżnorodniejszych towarów. Handel kolonialny, cukru, kawy, materyj góralowych aptecznych, malarskich, farbierskich, rozkrzewił się wtedy znacznie w Warszawie. Nastąpił związek handlowy ze Szczecinem, Wrocławiem i Berlinem, mniejszy zaś był daleko, lub ustał zupełnie z Gdańskiem i Toruniem. Sprzedawać zaczęto towary jedwabne z fabryk pruskich, tanie, pozorne, ale nietrwałe, nie tak jak dawniejsze wschodnie lub flamandzkie, nieprzenoszone, droższe znacznie, ale też w spadku z pokolenia w pokolenie przechowywane.

Dom przy ulicy Bielańskiej pod Nr. 602 (dziś p. Fraenkla) mieścił wtedy główny skład towarów z fabryk pruskich i porcelany berlińskiej, i ztąd zwano go domem brandenburgskim, lub domem pruskim, które to nazwisko istniało jeszcze za naszych czasów.

Handlem zaczęli się także zajmować Żydzi już stale i bez przeszkody w mieście, gdy dawniej wolno im tylko było trudnić się nim podczas jarmarków lub zjazdów publicznych.

## Przegląd polityki zagranicznej.

23 października.

Słusznie zauważyły dzienniki zagraniczne, że w gazetach francuzkich co rok powtarza się ta sama komedia. Cesarz Francuzów wyjeżdża do wód, a przed jego powrotem dzienniki paryzkie przypisują mu zwykle ogłoszenie jakiego manifestu, jakiego projektu ogarniającego świat cały swą doniosłością i t. p. Tymczasem Napoleon III wraca, nic nie ogłasza i.... rzeczy idą dalej zwykłym codziennym trybem. Otóż i obecnie zapowiedziany powrót Napoleona z Biarritz stał się hasłem tysiącznych przypuszczeń, zalegających pole dziennikarstwa francuzkiego. Ogól-

ném zdaniem pism francuzkich, cesarz, conajmniej, zaproponuje rozbrojenie ogólne, a tém samém kongres. Nie wchodzimy w zasadność tych pogłosek, a tém mniej w szczegółowy rozbiór mistycznie przez prasę półurzędową wygłaszanych opinij; zaznaczymy tylko, że owa myśl ogólnego rozbrojenia nie znajduje poparcia po za granicami Francji. Dodać tu należy, że nawet półurzędowa France, według telegramu z d. 20 b. m., oświadcza, że wszędzie dziś panuje oczekiwanie lub obawa. La France wprawdzie dodaje, iż rządy europejskie nie wydobędą się z trudności zapomocą wojny, lecz ostatnie to wyrażenie wzięto za artykuł tendencyjny na korzyść projektu rozbrojenia. Niebrak także dowodzących, że pierwszym aktem cesarza Napoleona po przyjeździe z Biarritz, będzie zmiana gabinetu obecnego na odpowiadający i przejście do zupełnego parlamentaryzmu.

Do liczby znanych już czytelnikom naszym kandydatów do korony hiszpańskiej, przybywa jeszcze jeden—Don Fernando, ojciec króla portugalskiego, z domu księżę koburgski. Stronnicy jedności iberyjskiej, dowiedziawszy się że obecny król portugalski postanowił nie przyjąć korony hiszpańskiej, wpadli na myśl powołania na tron Don Fernanda, w nadziei że po jego śmierci tron przejdzie w ręce dynastji braganckiej. Kandydatura ta wszakże nader jest wątpliwą i nikt dziś przewidzieć nie zdoła rezultatu głosowania powszechnego. Przedewszystkiem zaznaczyć należy, że Hiszpanie dzielą się na mnóstwo stronnictw, z których każde ze swoim występuje kandydatem, nie mówiąc już o republikanach, stanowiących dość liczną dziś klasę. Nawet przywódcy ruchu niezupełnie się z sobą zgadzają. Generał Prim oświadczył się za monarchją konstytucyjną, toż samo uczynił marszałek Serrano, lecz ten ostatni, wraz z Olozaga i Topetem, oświadczyli w Guadalajarze, iż przystaliby i na rzeczpospolitą, jeżeli głosowanie jej zażąda. Powiadają też że Prim radził się cesarza Napoleona i że władca Fracuzów poufnie miał doradzać kandydaturę księcia Asturyi i regencyą, ostrzegając zaś aby nie myślano ani o księciu Napoleonie, ani o rzeczpospolitej. W ogólności pokój w Hiszpanii dotąd nie został naruszonym, a rząd tymczasowy energicznie wzięł się do reform. Rozkazem ministra sprawiedliwości, oprócz wydalonego z Hiszpanii zakonu jezuitów, wszystkie inne męskie i żeńskie klasztory zniesione zostały, a majątki ich przyłączone do skarbu. Przeszło trzysta mnichów i mniszek udało się do Francji, gdzie ich po różnych klasztorach rozmieszczono. Niemniej radykalne reformy zaprowadzono w skarbowości i administracyi, lecz szczegółowy ich rozbiór przekracza granice szczerpłego przeglądu naszego.

Rada państwa w Wiedniu rozpoczęła chwilowo przerwane obrady. Na pierwszym posiedzeniu zgromadziło się tylko 100 członków izby niższej (wszystkich powinno być 203), a w tej liczbie pięciu posłów z Galicyi. Ministerjum, reprezentowane przez hr. Taaffe, przedstawiło powody zaprowadzenia stanu wyjątkowego w Pradze i jej okolicach, lecz szczegółowych rozpraw nad tą kwestją jeszcze nie było. Dzienniki wiedeńskie zaprzeczają pogłosce o planie rozdzielenia Galicyi na dwie części; przewidują jednak iż gdyby posłowie galicyjscy przedstawili uchwalone na sejmie lwowskim rezolucye i w razie odrzucenia ich opuścili salę, — rząd centralny poleci sejm we Lwowie rozpuścić i nakazać bezpośrednie wybory. Praga uspokoiła się nieco; starcia bywają coraz radsze, lecz dziennikarstwo surowym uległo wyrokowi. W stolicy sąsiedniej Saksonii były rozruchy miejskich posługaczy, przeciw którym aż wojska użyć było potrzeba. Porządek jednak wkrótce został przywrócony.

**Ostatnie depesze.** *Berlin, 21 października.* Neue Pr. Ztg. oświadcza stanowczo, że w kwestyi szlezwickiej żadnych ustępstw zrobić nie można, gdyż ciągle groźby na jakie Niemcy od półtora roku są wystawione, uczyniły ustępstwa niemożliwymi.

*Paryż, 22 października.* France ostro występuje przeciw artykułowi N. Pr. Ztg. w kwestyi szlezwickiej. Gaulois donosi, że Olozaga zatrzyma urząd posła w Paryżu.

*Londyn, 22 października.* Według Heralda królowa Izabella spodziewaną była w Brighton. Do tegoż miasta przybył z żoną hrabia Girgenti. (W. T. B. Ind. Bel. Schl. Ztg. Jour. des Deb. France).



## MAŻ UPATRZONY,

POWIEŚĆ Z ŻYCIA, W DWÓCH CZĘŚCIACH,

przez  
Jana Zacharyasiewicza.

Część pierwsza.

(Z rysunkami Antoniego Zaleskiego).

(Dalszy ciąg).

— A jakież jest dzisiejszy jego alfabet? zapytała ciekawie Bibcia.

— Dzisiejszy alfabet serca, za pomocą którego można się z nim porozumieć, stanowią ładne konie, pyszny ekwipaż, lokaje z galonami i do tego kilka wiosek z lasem dobrze zachowanym i propinacją naprzód nie wybraną.

— Zawsze patrzysz na świat przez szkła różowe.

— Rozumię się, że nie przez brunatne!... A zresztą wierzę mi. Dawniej jeszcze w kronikach utrzymywały się te romanse rycerskie, gdzie bohater był tylko znany po imieniu chrzestnym; lecz dzisiaj to już i pensyonarki zaczynają przybiierać ten nowy alfabet serca. Między memi towarzyszkami nie było żadnej, któraby do romantycznych marzeń swoich nie mieszała ekwipażu, ładnych koni, jedwabnych sukien i służby galonowanej.

Bibcia nic na to nie odpowiedziała, tylko się zamyśliła. Fipcia rozochocona mówiła dalej:

— Otóż widzisz, że takim alfabetem łatwiej jest nam rozmawiać, bo mamy za co kupić sobie pojedyncze litery. Nie uwierzysz jak silne wrażenie sprawia na mężczyźnie to wszystko co kobietę otacza. Na kobietę wytwornie ubraną, w angielskim powozie niedbale siedzącą, spogląda mężczyzna zupełnie inaczej, niżeli na kobietę idącą po trotoarze z wydeptanymi bucikami, choćby była najrozumnieszczą i nawet najpiękniejszą.

— Ale zato często mylimy się. Nieraz zdaje się nam, że ktoś nami się zachwyca, a to tymczasem tylko naszym powozem i naszymi końmi angielskimi.

— Mniejsza o to, byle tylko się zarzucić i obmotać. Reszta znajdzie się później... A co do Nepcia, wyobraź sobie jaki z niego elegant! Faetonik angielski, furman w liberyi, takiż samą jak ma Lichtenstein, a w zimie wkłada na niego czerwoną szubę, jakiej nawet nie ma stangret księcia Sapięhy, marszałka sejmu... Otóż z podobnym człowiekiem można się już takim alfabetem porozumieć. Mogłabym mu nawet zaproponować przejażdżkę do olszynki. Kazałabym zaprząć kasztanki do karykła i pędzilibyśmy na wyścigi... Stefan wziąłby na siebie wielką liberyę, zrobioną na wzór księcia generała Hohenlohe, ze srebrnym kutasem u ramienia. Potem kazałabym wyprowadzić dwa wierzchowce, bachmata i łyskę. Po przejażdżce wytworny obiad, dwaj lokaje w liberyi... Wszystko to, rozumiesz mnie, przemawia daleko zrozumiałej do serca, niżeli poezy Słowackiego.

Bibcia na to także nic nie odpowiedziała. Brunatna szyba, przez którą patrzyła, okazywała jej świat w nieco odmienną barwę. Milczenie jej wzięła Fipcia za uznanie tego wszystkiego co powiedziała.

— Nawet wyobrażam sobie Nepcia, jak się z domu do nas wybiera. Przecież wyraźnie mówił to dzisiaj rano ogrodnik, który przyniósł ojcu młode szczepy z jego ogrodu... Mogłabym się założyć, że w tej chwili Nepcio już jest w drodze. Amerykankę, nie... faetonik wziął, bo z tym jest mu lepiej

— To dziwne pytanie! ofuknęła siostrę Fipcia, wszak dobrą jest partya!...

Kiedy tak obie siostry w oszklonym ganku z sobą rozmawiały, wybierał się Nepcio rzeczywiście do nich z wizytą. Wizyta ta jednak miała, niestety, zupełnie inaczey wypaść, jak sobie Fipcia w swojej wyobraźni przedstawiała.

Już od samego rana była ciocia Euzebia na nogach, aby Nepcia należycie wyprawić w sąsiedztwo. Uwaga cioci, aby przypadkiem niby, wraz ze sprzętami gospodarskimi, przyjechać do pana Szymona, bardzo mu się podobała, miała bowiem na względzie rzeczywiste usposobienie zamożnego sąsiada. A tu, mimo wszelkich pozorów rządów Fipci i Bibci, chodzą głównie o pana Szymona. Zresztą Nepcio miał trochę nieczyste sumienie. Wiedział on dobrze jaka w okolicy jest o nim reputacya. Był próżniakiem, konsumentem ojcowskiego grosza i nic więcej. Lubił wykwinne ubiory, karykły i folbluty. To też Abramko propinator na jarmarku w mieście mówił do swoich znajomych, że nie na długo wystarczy dla Nepcia fortuna ojcowska.

Zdanie to szanowanego powszechnie propinatora doszło do uszu Nepcia i sprawiło mu niemiłe wrażenie. Wyobrażał sobie, że może i inni sąsiedzi te same o nim mają uprzedzenia, które jego zamysłem dobrego a rychłego ożenienia się nieco mogły zaszkodzić. Postanowił więc działać jaknajprędzej przeciw tym uprzedzeniom.

Najlepsza sposobność wydarzyła mu się teraz. Mógł naraz dwie muchy ubić. Najprzód zadałby kłam opinii powszechnej, pokazując że bynajmniej nie jest marnotrawcą, ale dobrym gospodarzem. Wiadomość o tym rozeszłaby się szybko, bo pan Szymon miał relacye z całym sąsiedztwem. Powtóre dla osobistych swych celów pragnął bardzo wydać się dobrze w oczach pana Szymona, bo w takim razie droga do Fipci była już utworzona.

Tak sobie Nepcio ułożył to wszystko w głowie. Ciocia Euzebia pomagała mu do tego, raz jako właścicielka konceptu, drugi raz jak szczerze przywiązana ciocia, która Nepciowi wszystkiego dobrego życzyła.

Już przy herbacie, czy raczej kawie czarnej, była długo i szeroko o tym mowa, w jaki sposób ma Nepcio przedstawić się z efektem panu Szymonowi. Ciocia Euzebia dowiodła w tych radach prawdziwej bezinteresowności.

Nepcio był zrazu tego zdania, aby, jak na winiętach kalendarzowych, porozrzucić na wozie najrozmaitsze emblematy gospodarstwa wiejskiego w sposób malowniczy. Na samym wierzchu tak artystycznie ugrupowanych narzędzi rolniczych, miał zasiąść Nepcio w bluzie płócienną (wprawdzie z angielskiego płó-

tna) i w czapce z materyi szkockiej. Nie miał palić cygara, ale krótką francuzką fajeczkę, zwaną *wurjerką*.

Ciocia Euzebia sprzeciwiła się wprost tak fantastycznemu planowi. Najprzód grzeszył on nieprawdopodobieństwem. Narzędzia rolnicze bardzo ła-



Patrz, patrz. to nogi Nep... pana Nepomucena....



Siadł Nepcio między młynkiem a szafą.

do twarzy. Jacuś prawdopodobnie dostał nową liberyę, czarną, bo jest żaloba, z białymi guzikami... Siwki jego płyną ręco jak woda, a Nepcio podkręca ładne swoje czarne wąsiki i uśmiecha się do swoich przyszłych zwycięstw.

— A mogłabyś w nim się kochać? przerwała Bibcia.



dnie wydają się na winietach kalendarzowych, ale tych wszystkich narzędzi nie można naraz zabrać, bo każde z nich ma wyłączną swoją porę. Nagromadzenie zaś wszystkich na jedną furę byłoby śmiesznością, dla takiego jeszcze gospodarza jakim jest pan Szymon, ojciec Fipci.

Nepcio lękał się przedewszystkiem śmieszności. Któs mu powiedział, że śmieszność może najzaciejniejszego człowieka zabić. A czemuż dopiero byłaby dla niego śmieszność w obec Fipci?

Zaczęto więc rozbiierać ten plan na rozmaite sposoby. Po bliższem rozpatrzeniu się poznano, że nawet malowniczych narzędzi gospodarskich nie można było użyć do tej romantycznej wycieczki. Majątek pana Szymona, o dwie mile oddalony od majątku Nepcia, a więc najmniejszego nie było powodu zabierać na furę narzędzi rolniczych, jak: pługi, brony, grabie i ekstirpatory. Do miasta powiatowego było wprawdzie trzy mile i można było jechać tam przez wioskę pana Szymona. Ale pan Szymon wiedział przecież doskonale, że Nepcio ma u siebie kołodzieja i że nie mógł w żaden sposób wozić tych narzędzi z sobą do naprawy.

Ciocia Euzebia uznała taki plan za niemożliwy, należało więc zastąpić go czem innem. Można było położyć na wóz kilka worków zboża lub ziemniaków. Ale po bliższej rozprawie i to okazało się niestosowne. Nie była to bowiem fura do sprzedaży ziemiopłodów i pan Szymon mógłby jaknajgorsze powziąć wyobrażenie o zmyśle gospodarczym Nepcia.

Przyjęto więc ostatni plan cioci Euzebie, a ten był następujący. Miano wziąć stary młynek do czyszczenia zboża i do tego ogromną szafę kredensową, która stała w sieni i mieściła w sobie zastawę talerzy i półmisek na sto osób. Szafa ta i tak miała być zawieziona do miasta, aby ją tamtejszy malarz według życzenia cioci Euzebie pomalował, w sposób naśladujący drzewo mahoniowe, młynek zaś potrzebował reparacji. Osiągnięto w takim razie dwa cele: byłby pożytek i ozdoba.

Gdy się na ten plan zgodzono, zabrał się zaraz Nepcio do wykonania. Najprzód ubrał się sam po mistrzowsku. Wziął na siebie szerokie szarawary, których zwykł był tylko w podróży używać i bluzę z angielskiego płótna, która wprawdzie tyle kosztowała u modnego krawca co wełniana, ale wyglądała skromnie. Jednej rzeczy jednak nie mógł sobie odmówić. Miał małą nóżkę i nadzwyczaj nią się pysznił. Dla uwydatnienia tej nóżki nosił w lecie trzewiki lakierowane, głęboko wycięte, z małą kokardką na przodzie, aby zaś wyraźnie odcinały się od nogi, używał cieniutkich skarpetek w liliowe pasy, i rad je wszystkim okazywał, osobliwie gdy siedział. Tych trzewików więc znanych w całym powiecie i tych skarpetek podziwianych w mileczeniu przez wszystkie kobiety powiatu, nie mógł zostawić w domu, gdy sam na tak ważną wybrał się wyprawę.

Tak to człowiek sam nie wie, jakim sposobem przypyta się o swoje własne nieszczęście!...

Kiedy już był ubrany, wziął się do urządzenia wozu, aby jakoś malowniczo wyglądał. Młynek z korbą wydawał się dosyć artystycznie, postawiono go więc na samym przodzie. Z szafą było nieco więcej kłopotu, trudno bowiem tak prozaicznym kształtom nadać coś malowniczego.

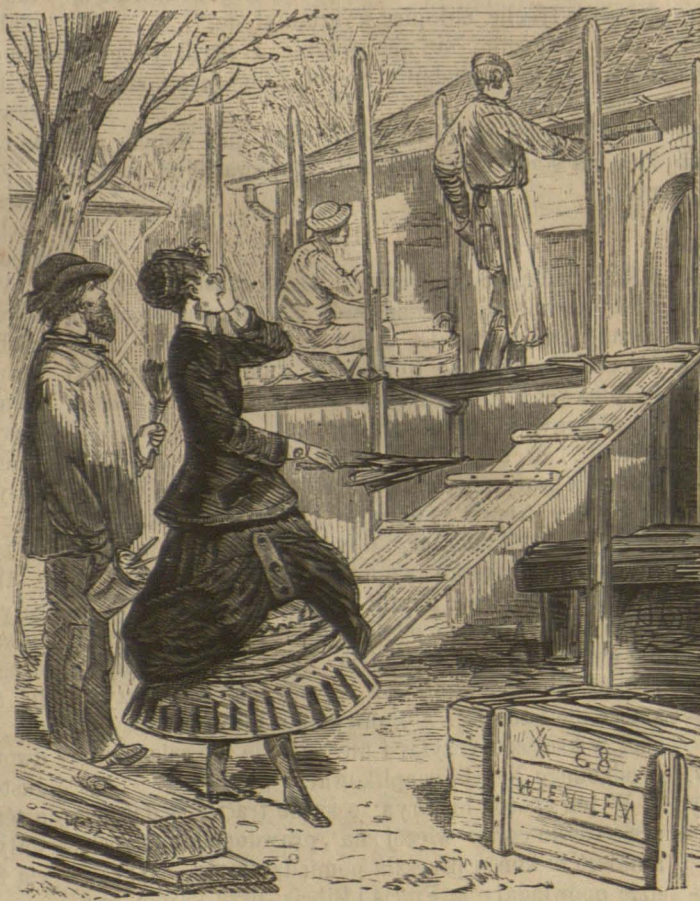
Szafa ta kredensowa, która tak fatalną rolę miała odegrać w życiu Nepcia, był to ogromny, podłużny czworobok z trzema otworami, które służyły do odświeżania zamkniętego wewnątrz powietrza. W górze był otwór większy, wielkości głowy człowieczej, a na dole znajdowały się dwa mniejsze otwory obok siebie. Były także wewnątrz półki na talerze i półmiski, ale te kazała ciocia Euzebia powymować, aby w drodze gdzie nie zaginęły.



Nepcio stał przed kasą kolei żelaznej i kupował bilet.



Spowiadał się z każdej wieszki odbytej po skończeniu opery, w towarzystwie różnoplucim...



W domu zrobiła także wiele odmian...

Drzwi były nadzwyczaj mocne i zamykały się na dwa zamki francuskie.

Nepcio nie mógł dla szafy przyzwoitego miejsca znaleźć na wozie. Długi czas turbowano ją i wykręcano w najrozmaitsze sposoby; wreszcie zgodzono się na to, aby ją w tyle umieścić, drzwiami do góry. Między szafą a młynkiem wyscielono sianem siedzenie i zaślano je dywanem.

Gdy już to wszystko gotowe było, siadł fernal na przód przed młynkiem, a Nepcio między młynkiem a szafą, i otrzymawszy błogosławieństwo od babci i cioci, ruszyli z kopyta w jaknajlepszej otusze.

Dziesięć było prześliczny. Niebo świeciło najpiękniejszym szafirem, a w powietrzu świegotało wesołe ptactwo, jakby się cieszyło ze szczęścia ludzi na ziemi.

Pierwsze ćwierć milki upłynęło szybko. Nepcio marzył o szerokich kokach Fipci, a z tem marzeniem było mu nadzwyczaj słodko. Układał sobie w głowie pierwsze powitanie i zdobywał się w duchu na rozmaite koncepta.

Po przebyciu pół mili zauważył fernal Franek, że wiatr zaczyna dąć od południa i że jaskółki coś bardzo nisko latają. Nepcio spojrzął na niebo i spostrzegł rysujący się z daleka jakiś ciemny pasek, który coraz więcej ku nim się przybliżał.

— Będzie ulewa, panicz! rzekł po chwili Franek, wykręcając kark na wszystkie strony.

— Tam do katal! krzyknął Nepcio, nie mam ani parasola, ani płaszcza. Któż się spodziewał?

Ujechano jeszcze pół milki, a po szafie zadudniały pierwsze duże krople wody, jako forpoczty ulewnego dęszczu. W polu było pusto, do karczmy daleko.

— Jaby miał radę dla panicza, ozwał się mądry Franek, z uśmiechem zarozumiałym.

— Jakaż radę? ciekawie zapytał Nepcio, kurcząc szyję z angielskim kołnierzykiem, bo wiatr dął silnie.

— Wleźć do szafy i tam wygodnie się położyć jak w łóżku.

— Czyś ty oszalał Franek?

— Oszalał albo nie oszalał, a ja paniczowi mówię, że to będzie najlepiej. Wyściele ją jeszcze sianem i dywanem zakryję. Miejsca tam jest na troje osób. Kuchcik raz tam się zakradł, to siedział dwa dni i jadł smażone jabłka.

Krople dęszczu padały coraz gęściej, a nawet grzmieć zaczęło. Całe niebo stało się nagle popielate.

— Jeżeli mówisz że tak dobrze będzie, to zrób jak myślisz, rzekł w końcu Nepcio i podniósł się na nogi.

Franek sprawił się szybko: wysłał szafę wewnątrz i przykrył dywanem. Nepcio wlaź do niej i przymknął nad sobą wieko. W szafie było nadzwyczaj przestrono. Duży otwór, tuż nad nim, dostarczał mu powietrza i pozwalał kawałek nieba oglądać. Ponieważ wiatr siekł z boku, więc w otwór padało bardzo mało dęszczu. Niższe dwa otwory nie dukały mu też bynajmniej, bo znajdowały się po bokach.

Było nawet w tej sytuacji coś romantycznego, a przytém nadzwyczaj wygodnego. Leżąc bowiem wznak jak w łóżku, na miękkim posłaniu z siana zaścielonem dywanem, był Nepcio po jakimś czasie tego przekonania, że nigdy jeszcze w życiu wygodniej nie jechał.

Za kilka chwil puścił się dęszcz ulewny, z błyskawicami i grzmotami. Woda lała się z nieba jak z cebra. Jednostajne dudnienie dęszczu po szafie, sprawiało Nepciowi nadzwyczaj dziwne uczucie. Był on tutaj zupełnie bezpieczny, tylko od czasu do czasu padała mu na nos dwułutowa kropla, jako mała próbka tego, coby go czekało, gdyby nie był rady Franka usłuchał. Nepcio w takim razie tulił głowę do dywanu, błogosławiąc cioci Euzebie za jej wyborny koncept.



Było to rzeczą bardzo naturalną, że turkot jedno-  
stajny wozu i jednostajne uderzenia dęszczy po  
ścianach szafy wprawiły go w jakąś dziwną półsen-  
ność. Zamknięcie szerszego widokregu, któryby  
mógł zmysły jego rozerwać, sprawiło, że owa pół-  
senność przeszła wkrótce w sen twardy, jakim za-  
wyczaj śpią ludzie sprawiedliwi i spokojnego su-  
mienia.

Tymczasem chmura przeleciała, niebo wypogo-  
dziło się, a ptaszki znowu wesoło okrażały młynek  
i szafę. Npecio jednak spał ciężko, tylko dla wygo-  
dniejszej pozycji wystawił przez dolne otwory swoje  
trzewiki z kokardkami i skarpetki w pasy liliowe.

Lecz nagle turkot ustał. Npecio przebudził się.

— A co tam Franek, czy się co zepsuło? zapytał  
przeciérając oczy.

— Nic się panie nie zepsuło, odparł Franek pe-  
wnym głosem.

W tej chwili zdawało się Npeciowi, jakby ktoś  
szklane drzwi otworzył. Jeszcze nie miał czasu za-  
stanowić się nad tem, gdy nagle usłyszał głośny  
śmích kobiety.

— Któż to przyjechał? zapytała jedna.

— Patrz... patrz!... To nogi Nep... pana Nepo-  
mucena! odparła druga i wybuchnęła straszliwym  
śmíchem.

— Ach prawda! Trzewiki z kokardkami i skar-  
petki liliowe!... dodała druga śród chichotu.

— Człowieku! co, a raczej kogo przywieźliście?  
zapytała Fipcia, którą teraz poznał Npecio.

— Panicza przywozłem, wielmożna panno! od-  
powiedział uśmiechnięty Franek.

— A gdzie panicz?... To tylko trzewiki pa-  
nicza.

Franek obejrzał się, jakby sam sobie nie dowie-  
rzał. Przekonawszy się naocznie, odparł:

— To przecież są nogi, nie tylko trzewiki. A gdzie  
nogi, tam już i człowiek być musi.

Na ten argument Franka napadł obie damy  
w śmích spazmatyczny, który tak był przeraźliwy  
dla ucha biédnego Npecia, jak trąba anioła zwołu-  
jąca ludzi na sąd ostateczny.

Npecio odchodził prawie od zmysłów. Chciał nogi  
z otworu cofnąć, — nie mógł. Chciał drzwi od szafy  
odemknąć, — nie mógł, bo podczas drogi zamek się  
zatrzaskał...

Zrozpaczony, usłyszał, że śmích kobiet coraz  
więcej cichnie, gdzieś się oddala... wreszcie kona.  
Zapewne poszły po ciotkę, po garderobianę, aby im  
wszystkim Npecia nieszczęście okazać... Skorzystał  
więc z tej krótkiej pauzy i grobowym głosem za-  
wołał:

— Franku, nawracaj i pędz do domu co tchu!..

W tydzień po tym tragicznym dla Npecia wypadku,  
siedziały babcia i ciocia Euzebia przy stoliku, zajęte  
jakąś robotką. Npecio przechadzał się szerokimi  
krokami po pokoju.

Biédny Npecio schudł widocznie i przybladł. Cięż-  
ki frasunek malował się na jego czole. Angielskie  
kołnierzyki nie były już w tym porządku co dawniej.  
Nawet i fryzura szwankowała nie w jedném miejscu.

Wypadek jego z fatalną szafą rozszedł się po ca-  
łej okolicy. Śmiano się do syta, a niektórzy sąsie-  
dzi byli tak bezczelni, że umyślnie przyjechali do  
niego, aby się przekonać, czy to istotnie prawda.

Fipcia była dla niego straconą. Okrył się śmiesz-  
nością, a śmieszność zabija najzaciejszego czło-  
wieka!..

Pochodził jeszcze kilka chwil po pokoju, prze-  
wrócił dwa krzesła i mały taborecik i wyszedł.

Po jego odejściu westchnęła babcia. Babcia za-  
wtórowała ciocia Euzebia.

— Biédny Npecio! rzekła babcia, chciałyby gdzieś  
wyjechać, aby się rozerwać.

— I bardzo słusznie, odparła ciocia Euzebia z dzi-  
wnym uśmiechem; trzeba czasu, żeby to poszło w za-  
pomnienie.

— Możeby pojechał do Lwowa, albo gdzie do ką-  
piel galicyjskich, albo do Warszawy?

— Tegobym nie radziła. Mam ważne powody,  
aby ani do Lwowa, ani do wód, ani do Warszawy  
nie jechał.

— Jakież powody?

— Npecio jest teraz rozżalony, zmartwiony, zne-

kany. To najniebezpieczniejszy stan dla mężczy-  
zny. Npecio gotów w tym stanie jakie głupstwo  
zrobić. Czepi się go jaka awanturka i przywiezie  
nam żonę, z którą ani sam nie będzie szczęśliwy, ani  
babcia nie zrobi przyjemności.

— Takie nieszczęście może go i gdzieindziej także  
spotkać.

— Właśnie o to chodzi, aby tam pojechał gdzie  
najmniej jest niebezpieczeństwa. Do Lwowa nie ra-  
dzą. Lwów małe miasto. Zaraz wszystkim wpa-  
dnie w oczy, bo jest dobrą partją. U wód mine-  
ralnych polują najrozmaitsze awanturki na podo-  
bnych epuzerów. Warszawa jest tak towarzyska,  
że młody mężczyzna z czystą hypoteką rozrywany  
będzie przez wszystkie mamy i ciocie.

— Gdzież mu tedy radzisz jechać? czy do Drezna?

— Drezno na równi stoi z Warszawą. To jakby  
część Warszawy. Wszystkie domy żyją życiem to-  
warzyskiem i najwięcej maryażów skleja się w Dre-  
źnie.

— To już na to nie mam żadnej rady! Przecież  
nie zechcesz wysłać go na uniwersytet niemiecki?

— Broń Boże, nauka to nie rozrywka dla Npecia...  
Jabym go wysłała do Paryża.

— Do Paryża?... Bój się Boga! Z dęszczy pod  
rynnę.

— Wcale nie. Paryż, jest to miasto które mu  
w tym względzie bynajmniej nie zagraża. Tam bę-  
dzie się tylko bawić, hulać, jeśli do tego ma ochotę,  
tracić pieniądze, ale się nie ożeni.

— Nie rozumiem cię dobrze.

— Byłam w Paryżu kilka lat i wiem czém jest  
Paryż. Śmiać mi się chce, jeśli kto z naszych obywateli  
do Paryża się wybiera i wróciwszy opowiada różne an-  
drony. Paryż jest to miasto które dla obcego nie  
ma rozrywki towarzyskiej, rozumie się w gronie ja-  
kiejś pocziwój rodziny. Wojażer jest tam wciąż ogra-  
niczony na kawiarnie, na teatr i bale niegrzeszące  
zbytnią moralnością. W tém więc kole pożyje tro-  
chę, zostawi tam grosz, a przyjechawszy do kraju,  
plecie androny, aż niemiło słuchać.

— Może w tém być wiele prawdy.

— Otóż Npecio może w takim towarzystwie do  
syta rozerwać się, byle tylko miał czém to towa-  
rzystwo opłacić, może wyszumić się należycie, bo  
już to święta jest maksyma, *que la jeunesse se passe*.  
Po zakosztowaniu takiego życia wytrawi się i uspo-  
koji, a jako człowiek ze spokojnym temperamentem,  
pójdzie drogą rozumu. Burzliwy temperament nie  
rozumnego nie robi. Uspokojony, śmiać się będzie  
z tego co go dzisiaj zajmowało. Jestem o niego spo-  
kojną. Z Paryża nie przywiezie on żony. Zostawi  
tam tylko swoje młode zachcianki, jak np. ma-  
rzenia o Fipci i Bibci...

— Być może, że to byłoby dla niego zbawienném.  
Niechby trochę chłopiec wyszumiał się.

— I wyszumi się niezawodnie i prędzej będzie  
umiał ocenić prawdziwy rozum, który jest podstawą  
życia.

W tydzień po tej rozmowie stał już Npecio pod  
kasą na stacyi kolei żelaznej i kupował bilet do gra-  
nicy.

## II.

Sześć miesięcy upłynęło od tego czasu. Historia  
o wizycie w szafie kredensowej zaczęła się dopełniać  
różnymi wariantami. Jedni utrzymywali że ciocia  
Euzebia naumyślnie to zrobiła, a pobożne kumoszki  
były nawet tego zdania, że jakimś czarami dęszczy  
gwałtowny z nieba sprowadziła. Inni znowu opo-  
wiadali, że to nie była szafa, ale skrzynia, i że  
Fipcia z psoty umyślnie klucz w zamku obróciła,  
zastawszy Npecia śpiącego. I Bóg wié jakie tam  
były jeszcze komentarze do tej historii, aż w końcu  
tak się to wszystko zagmatwało i zaciemniło, że  
ksiądz proboszcz z parafii Npecia na odpuszcie w Ży-  
dowicach stanowczo przeciw tej całej baśni powstał,  
nazywając ją najczarniejszą kalumnią rzuconą na  
jego szlachetnego kolatora, która nigdy w rzeczywi-  
stości nie istniała, a którą tylko jakiś złośliwy są-  
siad w książce wyczytał i niegodziwie do szlachetnie  
urodzonego Npecia zaaplikował.

W ten sposób historia o szafie traciła w dalszém  
sąsiedztwie coraz więcej na prawdopodobieństwie,  
a nawet w końcu przeszła pomiędzy myty. Wpraw-  
dzie opowiadały ją Fipcia i Bibcia przy każdej spo-

sobności ze wszelkimi szczegółami, ale zawistne  
sąsiadki posadzały je o plagiat i słusznie się tém  
gorszyły. Po sześciu więc miesiącach, kiedy Npecio,  
znudzony Paryżem, miał już do ojczystej zagrody  
wrócić, mógł śmiało liczyć na zapomnienie tej fatal-  
nej historii, z wyjątkiem Fipci i Bibci, które i tak  
uważał za stracone.

Przez te sześć miesięcy w stosunku Npecia do  
zagrody ojczystej nic się szczególnego nie zmieniło.  
Co tydzień przychodziły listy z Paryża. Ciocia Eu-  
zebia czytała je rapsodycznie nagłos babcia. Potém  
zasiadała do biurka i odpisywała, pytając zawsze  
w końcu babcia, czy nie ma czego dodać.

Listy Npecia z Paryża były dosyć jednostajne.  
Wiarty danemu nakazowi, aby żadnej tajemnicy nie  
miał przed ciocią Zebcią, spowiadał się biédak jak-  
najrzetelniej z każdego śniadanka wesołego, z każ-  
dej wieczery odbytej po skończonej operze, w to-  
warzystwie różnopłciowém.

Ciocia Zebcia czytała te listy z wielkim spokojem  
i nadzwyczajnym pobłażaniem. Cieszyło ją to wi-  
docznie, że młody człowiek rad świata Bożego uży-  
wa. Listy w których tylko same myśli i ustępy li-  
ryczne były, nie sprawiały jój takiego zadowolenia  
jak te, w których Npecio z grzechów swoich się spo-  
wiewał i pokornie o przebaczenie prosił.

Odpowiedzi ciocie były nadzwyczaj długie i rozu-  
mowane, po największej części filozoficzne wykłady  
o życiu i obowiązkach życia. Ostrzegała go przed  
młodemi, a co gorzej, ładnymi zwodnicami, które  
młodemu człowiekowi tylko świat zawiązują, jeżeli  
go się na całe życie uczepią; mają one tylko zmien-  
ne, powierzchowne wdzięki, a nie mają rozumu, któ-  
ry nietylko życiem, ale całym światem kieruje...

Takiej mniej więcej treści były listy ciocie Euzebii.  
Npecio nigdy w tym względzie z nią się nie sprzeczał,  
ale ze spowiedzi jego okazywało się, że najczęściej  
szedł za temi zmiennymi wdziękami i nietylko owe-  
go wstawionego rozumu nie szukał, ale nawet i sam  
o szczypcie własnego rozsądku zapominał. Nie prze-  
rażało to jednak ciocie Euzebii, i kontentowała się  
obietnicą Npecia, że żadna paryzka awanturka nie  
zobowiąże go na całe życie.

Spokojnie więc upłynęły te sześć miesięcy dla  
babcia i ciocie i pozwoliły, mianowicie ostatniej, zająć  
się oporządzeniem domu i całego gospodarstwa. Są-  
dząc po jój czynnościach w tym względzie, należa-  
łoby wnosić, że to jój sprawiało wielką przyjemność;  
nietylko bowiem trzymała wręku całe gospodarstwo  
bieżące, ale miała jeszcze dosyć czasu na różne plany  
dotyczące przyszłości.

Najprzód wzięła się do stanowczego wytknięcia  
granic całego majątku. Kazała pokopać rowy i wy-  
sypać kopce. Las otoczyła głęboką fosą i wałem,  
tak że wyglądał jak forteca. Tym sposobem prze-  
cięła wszelką defraudacyą i zamknęła drogę luźnie  
chodzącemu bydłu. Uregulowała poręby, bo s. p. pan  
Witalis niebardzo na to zważał. U niego Żyd, zło-  
żywszy pewną kwotę na stole, mógł gospodarować  
w całym lesie.

Zrobiwszy te i jeszcze inne melioracje w gospo-  
darstwie zewnętrzném, jakie w tych sześciu miesi-  
cach zrobić się dały, zwróciła całą uwagę na ogród  
i pomieszkanie.

W ogrodzie okazał się czynny jój umysł w sposób  
najwydatniejszy. Ze starego szlacheckiego ogródka,  
zrobiła pyszny ogród w smaku angielskim. Nie-  
które drzewa kazała pościąć i otworzyła tym sposo-  
bem kilka bardzo ładnych, nowych widoków. Pobu-  
dowała altanki w miejscach stosownych, według  
własnoręcznych rysunków. Nowe ścieżki przerzy-  
nały się wzajemnie, nowe klomby i gazony zdo-  
biły zapuszczone dotąd moczary i zarośle dzikie.  
Prócz tego wszędzie kazała posadzać żywopłoty.

W domu także zrobiła wiele odmian. Najprzód  
cały dwór pokryła nowym dachem. Przybudowała  
nową fasadę do frontu i ubrała ją w nader gustowne  
ornamenta. Stare drewniane oficyny kazała rozwa-  
lić, a natomiast postawiła elegancki pawilonik z ce-  
gły, blachą żelazną pokryty. W lewém skrzydle  
dworu przygotowała apartament dla Npecia z takim  
gustem i taką wytwornością, że sąsiedzi mówili  
o tém jakby o bajce z tysiąca nocy i jednej. Znajdo-  
wały się tam posadzki z drzewa zagranicznego, obi-  
cia francuzkie i dywany perskie.

(Dalszy ciąg nastąpi).



## Przegląd teatralny.

Teatr Wielki: Benefis Królikowskiego. — „Zbójcy“ Szyllera.

Rozbioru Zbójców ani ich ocenienia pisać nie myślimy; sprawa ta zawyrokowana już dawno w rocznikach krytyki europejskiej, a pragnąc koniecznie wydać zdanie o sztuce, musielibyśmy pomimowolnie spotkać się z jakim wypisem studyów, których ogromne już tomy o niej drukowano.

Wolimy więc opisać wprost wrażenie jakie tragedia Szyllera wywołała na publiczności warszawskiej, a możemy to uczynić, słyszeliśmy bowiem zdań niemało i rezultat ich powtórzymy wiernie.

O przedstawieniu Zbójców dawno już mówiono. Połączone ono było z benefisem Królikowskiego, więc publiczność zainteresowała się niezwykle tym widowiskiem.

Co do gry Królikowskiego i niektórych innych artystów w tragedii Szyllera występujących, jednogodny tylko dawał się słyszeć głos pochwały, nawet uwielbienia; ale przedstawienie samej tragedii, dla tych zwłaszcza którzy nie mieli sposobności dawniej jęj poznać, było powodem rozczerowania tylko.

Już to u nas większość czytających i widzów przyjęła zwyczajne formułki krytyki, od których nie odstępuje.

Jeżeli książka jaka, dzieło lub artykuł nie są napisane, jak to mówią „zabawnie“, jeżeli widnieje tam tendencja moralna, a co gorsza krytyka społeczna, jeżeli autor nie przewraca koziołków frazeologicznych lub dowcipkowych, wołają:

— A to kazanie! Dajcie nam pokój z kazaniem! Mamy ich już dosyć!

Jeżeli sztuka mająca się przedstawiać nie jest zbudowana podług formułek rzemieślniczo-efekciarzkiej szkoły, jeżeli znajdują się tam ustępy poetyczne, nad którymi trzeba trochę pomyśleć, jeżeli jednym słowem pisał to poeta, albo dramatyk prawdziwy, a nie przemysłowiec dramatyczny, rachujący przedewszystkiem na zajęcie, zabawę, lub sztuczne wzruszenie, odzywają się wnet głosy:

— Nudy! święte nudy! Ja przychodzę do teatru żeby bawić się za moje pieniądze, a tu mi palą jakieś rozprawy filozoficzno-moralne, bez których mógłbym się obejść zupełnie.

Więc kiedy jako przydatek do innych sztuk Królikowski lub Dawison odgrywali ustęp z piątego aktu Zbójców, rzecz się podobała i bawiła.

Dlaczego?

Bo były tam efekta dotykalne, bo na ocenienie znakomitej gry tych dwóch artystów nie potrzeba było więcej jak półgodzinnego natężenia, bo zresztą koniec sztuki z ową sławną modlitwą, a potem strzałami i ogniem bengalskim, działał jakoś na nerwy.

Ale gdy przyszło do przedstawienia całej sztuki, do tego pierwszego kompletnego benefisowego przedstawienia, ujrzelśmy ze zgrozą na tymże samym piątym akcie trzecią część siedzeń w krzesłach opróżnioną.

Jednym się jeść zachciało, drudzy poszli ziewać gdzieindziej, inni, dopełniwszy obowiązku względem wielkiego artysty, nie mieli już tam nic do roboty, a niektórzy, chociaż siedzieli jeszcze, czynili to z widocznym poświeceniem, zdając się mówić:

— Trzebaż uszanować tego Szyllera, bo to podobno wielki poeta. Wprawdzie niegodziwiec nudny jak lukrecya, no, ale sumienie i przyzwoitość każą wytrwać do końca.

I wytrwali, z biędą, ale wytrwali.

Tylko poczciwa góra całym sercem i całą duszą oddawała się nowemu dla siebie wrażeniu. Galerya i paradyz tak były zapełnione, że wydawały się morzem głów falujących jedne nad drugimi, słuchały z całym natężeniem, przyklaskiwały z całego serca.

Różnica pomiędzy usposobieniami tych dwóch sfer widzów w tym głównie leży, że galeryowi i paradyzowi zachowali całą świeżość uczuć nieprzytępionych kondymentami życiowymi, a dół przeciwnie chciał sobie zdawać sprawę i rozumować.

I mówiąc to nie potępiamy bynajmniej usposobienia ogólnego publiczności uczęszczającej u nas do teatru. Jest ona tak dobra jak gdzieindziej, pod wielu względami lepsza może. Ale potrzeba jęj do-

pięro zwyczajnie się do poważnego zapatrywania się na sztukę, dotychczas bowiem bardzo mało nastęczało jęj się ku temu sposobności; a rzecz ta przyjsć tylko może stopniowo. Ztąd pochodzi że tak o sztuce, jak o grze artystów, bez zdania sobie nawet sprawy na jakich zasadach rzecz się rozsądza, wydają się u nas wyroki doraźne i nieodwołalne.

Tak było i ze Zbójcami.

Wołano: ten grał doskonale, a ten był nieznośny; ale wołający byliby bardzo zakłopotani, gdyby przyszło im poprzecć swoje zdanie jakimi prawdziwie przekonywającymi argumentami.

Że rola Franciska Moora jest jednym z tryumfów scenicznych Królikowskiego, o tęp nikt nie wątpił, już dla tego samego, że wątpiący mogliby ściaćgnąć na siebie podejrzenie, iż się nie znają na rzeczy.

Tak jest, znakomity artysta wybornie, z możliwą doskonałością, rolę swoją odegrał, i w tęp może głównie zasługa jego leży, że charakter ten zwykle przez równe znakomitych artystów inaczej oddawanym bywa.

Głównym przymiotem gry Królikowskiego jest oryginalność.

W sobie samym, we własnym rozmyśle i zastanowieniu się, szuka on żywiołów do odtworzenia danego charakteru. Cechą gry jego jest doprowadzona do ostatnich prawie krańców skończoność i wytworność szczegółów, które on jednak tak umiejętnie z ogółem zlewać umie, że z tych najdrobniejszych ornamentacyj, na które z mikroskopem prawie w rękę patrzeć trzeba, wytwarza się całość systematyczna.

Gdyby o grze Królikowskiego, w takiej roli jak Franciszka Moora, chcieliby stanowczy sąd wydać, należałoby chyba zapomnieć o biegu sztuki, nie zważać na innych artystów, tylko na niego mieć oczy ciągle zwrócone.

Ruchoma ta fizyognomia co chwila zmienia odcięć, głos ten wyrobiony do ostatnich prawie granic doskonałości, z niepojętą giętkością przybiera zmiany akcentowania i przechodzi do różnych modulacyj. Rzadko kiedy słyszeć się daje wykrzyk z całych piersi, a kiedy to się zdarza, wówczas wrażenie tęp bywa silniejsze, im wybuch ten mniej był spodziewany.

Dla należytego ocenienia gry Królikowskiego potrzebna jest sala teatralna, któraby nie zatraciła najciszej nawet wydanego westchnienia, potrzebne są lornetki któreby pozwalały uchwycić najdrobniejszą nawet zmianę rysów. Bo doskonałość gry jego leży w znacznej właśnie części w tych pozornych drobiazgach, wyrobionych jak owe koronkowe rzeźby gotyckie, składające się na poważną całość.

Franciszek Moor inaczej pojety, (a nawet na naszej scenie widzieliśmy go już takim) straszy i przeraża doraźnie; jest to chwila elektrycznego wstrząśnienia, które ogarnia całą istność widza, ale i przemija wraz ze zniknięciem obrazu. Przeciwnie Franciszek Moor, upostaciowany przez Królikowskiego, wsączy się powoli w twoje wyobraźnię, ale pozostanie już tam, będzie cię dręczyć jak z mora, obraz jego stanie przed tobą w snach gorączkowych, a nawet na jawie, kiedy sobie wspomnisz o nim, dreszcz mimowolny cię przejdzie.

Rola Maksymiliana Moora (ojca) nie jest wdzięczną dla artysty, w właściwym znaczeniu jakie przywiązujemy do tego wyrazu.

Ten bezsilny i bezwłasnowolny starzec, nie człowiek już ale cień człowieka, umierający ciągle, a nie mogący umrzeć, staje się prawdziwym ciężarem dla widza, który doprawdy gotów mu złożyć, że jeszcze raz, na jego ostateczne utrapienie, wychodzi w piątym akcie w całość z lochu, i pozwoliłby chętnie żeby już raz dobiły go na dobre te uderzenia maczugi, ciągle a bezskutecznie na jego głowę wymierzane.

Otóż Rychter, mając przed sobą tak straszną trudność zadania, potrafił jednak do tyła unaturalnić to widmo, że wydawało nam się prawdopodobnym. Arcydziełem Rychtera jest stopniowanie w scenie, w której wysłuchawszy opowiadania Karola, powtarza ciągle:

— Przekleństwo moje go zabiło!

Ta okropna myśl wszczepiająca się w starca, ten stan obłąkania, prawie w letarg przechodzący, znalazły w Rychterze wybornego tłumacza. A cały końcowy ustęp piątego aktu trzymany jest w mierze nad-

zwyczaj trudnej dla bardzo nawet wytrawnego artysty. To długie konanie ani na chwilę monotonością nie odstręcza; mimika i ruchy wystudyowane są z zupełną prawdą.

Pan Tatarkiewicz starał się w roli Karola Moora podołać niepoślednim trudnościom zadania. Uczynił tę postać sympatyczną, tak jak chciał poeta, a miał nawet parę takich chwil, w których uwierzyliśmy że słowa przez niego wymówione, potrafią zelektryzować tych wyrzutków ludzkości którzy go otaczali. Byłoby niesłusznnością więcęć żądać od młodego artysty, któremu po pierwszy raz łamać się przyszło z tak olbrzymią rolą.

Estetyczną Amelią przedstawiła pani Palińska, z umiejętnym przejęciem się pięknocią wypowiedzianych przez siebie ustępów. Koniec czwartego aktu, kiedy Karol, poznany przez Amelią, rzuca harfę i ucieka, obudził silne wrażenie. W przedstawieniu tęp rozidealizowanej postaci utalentowana artystka umiała skupić najpoetyczniejsze gry swojej odcięć.

Pan Chęciński w roli Hermana wybornie utrzymał ton tragiczny, a umiejętne cieniowanie głosu i poprawna dykcya, których tak w porę używać potrafi, mogłyby być dla wielu przykładem.

Panowie Stolpe, Chomiński i Sawicki przyłożyli się skutecznie do podniesienia całości sztuki.

Niepodobna zresztą więcęć wymagać. Na dobre przedstawienie Zbójców, odpowiadające w zupełności wymaganiom sztuki, trzeba chyba uczynić dobór artystów z różnych scen europejskich. Tam każda rola powinna znaleźć dla siebie właściwego tłumacza, a tego pojedynczymi siłami jednego towarzystwa dramatycznego, w którym z konieczności różni artyści różne tykorodzaje ról uprawiają, uczynić niepodobna.

Powinniśmy więc być zadowoleni z tego co było i nie żądać niepodobieństwa. Nie każda scena europejska potrafiłaby się zdobyć i na takie przedstawienie niektórych głównych ról w Zbójcach, jakie u nas miało miejsce.

Wacław Szymanowski.

## Przejazd przez szczyty Kaukazu.

skrócił

Kazimir Łapczyński.

(Dalszy ciąg).

„Przysięgam Bogu Wszechmogącemu, klnę się świętym miejscem Camadi Kawzat, klnę się świętym miejscem Tibaj Wacili (Bazyli) i Fridzwar(?). Jeżeli naruszę przysięgę, co ją w tęp chwili wymawiam, niech nie ujrzę grobów przodków moich; niech się kości moje na obcój ziemi rozsypią; niech ziemia-karmicielka odmówi mi darów swoich; niech wyschnie woda którą gaszę pragnienie; niech powietrze którym oddycham na mnie i na całą moją rodzinę ciężkie choroby sprowadzi; niechaj rozgniewane niebo zesle na wiarołomcę wszystkie klęski jakie w dłoni swojej trzyma, i niechaj się na mogiły przodków moich i na moich potomków wyleje nieczysta krew psa, kota i oślicy, jeżeli nie dotrzymam przyrzeczenia“.

Oprócz wyliczonego poprzednio, bardzo krótkiego rejestru świąt religijnych, Osetynie zachowują niektóre uroczystości zwyczajowe. I tak Nowy rok, *Nog-Bon*, co dosłownie znaczy *Nowy-dzień*, obchodzą równie wystawnie jak Georgianie; że to jednak już gdzieindziej opisałem, (\*\*\*) powtarzać się nie będę. Dodam tylko, że chociaż Osetynie, równie jak Georgianie, wieczorem w wigilię Nowego roku strzelają z palnej broni, robią to jednak z innych powodów. Każdy Osetyn strzelając mierzy do księżycy, w tym dniu bowiem, raz w ciągu roku, księżycy zagrożony jest od strasznego smoka *Arwi-Kalm*, i zginąłby niechybnie, gdyby te gęste wystrzały nie odstraszyły potwora. Jest to wspólny z Chińczykami zabobon.

(\*\*) W artykule: *Z Tyglistu pod Ararat*, w tomie XIV Tygod. Illustr.



# RYSONKI HUMORYSTYCZNE

Franciszka Kostrzewskiego.

W pierwszym tygodniu wielkiego postu, od poniedziałku do soboty, odbywa się *Tuturoba*, coś w rodzaju ostatków. Jedzą się wtenczas ryby (o pstrągi w górach nietrudno) i hojnie płynie miód, wódka z prosa czyli *araka*, piwo z żyta i *buza*, wszystko domowego wyrobu.

Osetynie porządkiem i ochędością domowem odróżniają się od wszystkich ludów kaukaskich, i to szczególnie, że oni jedni używają europejskich łóżek i krzesel. Szafa w najuboższym domu się znajdzie, a takich najwięcej, bo Osetynie ogólnie są bardzo ubodzy. Najwytrwalsza praca nie poradzi, gdzie niema żadnego przemysłowego ruchu, a dokoła skały bezpłodne. Jeżeli się gdzie przypadkiem zdarzy kawałek uprawnej ziemi, to nic nie rodzi w tym zimnym klimacie, oprócz lichego jęczmienia. Bardzo rzadka rodzina, żeby się mogła własnym chlebem wyżywić. Zwykle biorą zboże na kaukaskiej linii, a kukurydzę i proso w Georgii, oddając w zamian sukno, séry, masło, bydło i owce, chociaż ich sami niezbyt wiele mają. Powiadają, że niby to każdy osetyński dym średnio posiada pół konia, 4 sztuki bydła, 30 owiec, 2 kozy i 1 świnie; czy jednak rachunek ścisły, to wielka wątpliwość; mnie się zdaje że przesadzony, bo są auly gdzie wszyscy mieszkańcy, utworzywszy spółkę, są właścicielami jednego konia i pary wołów. Zdarza się to nawet przy głównej drodze, gdzie o zarobek, a więc o poprawienie bytu, najłatwiej.

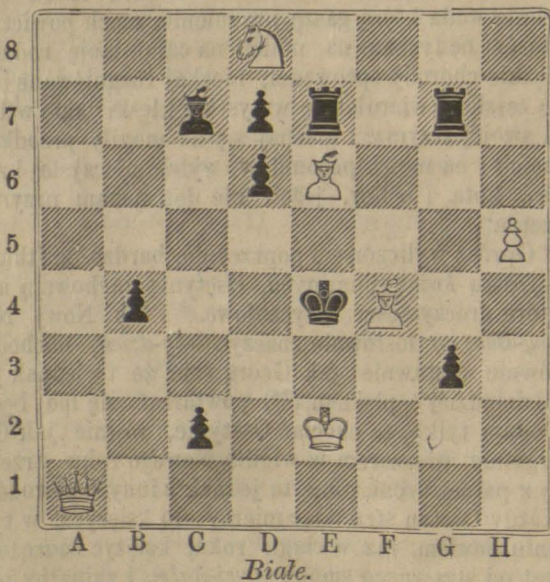
Ludność Osetyi podobno nie dochodzi stu tysięcy. Znaczna część tej ludności, przyciśnięta niedostatkiem, każdej zimy schodzi z gór do Georgii i najmuje się do najróżnorodniejszych robót. Druga część spędza stada bydła i owiec na zimowe pastwisko w szyrakskie stopy, gdyż w górach śniegi wielkie i długo leżą, a zapasy siana i słomy bardzo skąpe.

## Szachy.

ZADANIE XXXV.

Białe zaczynają i dają mata za 4-ém posunięciem.

Czarne.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 34.

Białe.

Czarne.

- 1) E8—E2 † . . . . . 1) H5—G4.
- 2) A6—G6 † . . . . . 2) Jakkolwiek.
- 3) H3—G1 lub F4, albo F3—G1 lub H4 † i mat.



Spotkanie z doktorem.

- A cóż u licha tak się lekasz? Czyś wierzyciela zobaczył?
- Nie, to nasz doktor domowy. Ale co on sobie o nas pomyśli!... aż mi wstyd doprawdy.
- No, czego?
- Bo wystaw sobie... od dwóch lat nikt u nas w domu nie chorował.

Trzecia część domów pilnuje, drogę przez góry porządkując.

Po tym krótkim o Osetynach ustępie, raźniej nam będzie dalej jechać, bo czy to ujrzymy grono dzieciaków prawie nagich przed saklą, czy to pierzchliwa Osetynka schroni się czempredziej przed nami, czy to góral w spiczastej georgiańskiej czapce zechce nam wielki krąg séra przedawać—będą to już mniej więcej, choć powierzchowni, nasi znajomi i nie będziemy podróżować wśród zupełnie obcych dla nas żywołów.

Już dwie mile ujechaliśmy od Passanauru; dolina której się przez pięć mil od samego Ananuru pilnujemy, znacznie się rozszerzyła i na dwa wąwozy rozdarła. Między niemi w widłach siedzi wprost przed nami ogromne, niezgrabne górzysko, pod niem ładna wieś Kwiszet. Dokoła na podobłocznych wysokościach, jak dawniej geste zameczki, baszty, stare cerkwie i wioski. Most często zrywany przeprowadza nas na lewy brzeg Aragwy, i następuje rozstanie z naszą piękną przewodniczką, droga bowiem nie chce iść ani wawozem na lewo, którym wody Aragwy od szczytów się toczą, ani wawozem na prawo, którym spływa Chadis-Ccheli, ale przyszła jej fantazyja drapać się na owę niezgrabną bryłę, w widłach usadowioną, co się kwiszeczką górą tytułuje, z powodu sąsiedztwa z Kwiszetem. Niektórzy kajszaurską ją nazywają, bo Kajszaur na jej grzbiecie się usadowił, ale go nie widać jeszcze, cała mila od niego nas oddziela.

Minawszy Kwiszet, u podeszwy góry spotykamy wielkie stado wielbłądów. Gryzą biedną, poźółkłą grudniową trawkę, czekając aż się obwał z Gudu uprzątne, żeby za góry po mąkę pomarszerować. Czarwodary, to jest przewodnicy wielbłądów, rodem z Karabachu, grzeją się przy skąpych ogniskach, gotując podróżne śniadanie. Mijając te wielbłądy i czarwodarów, ani nam na myśl przyszło, że możemy spotkać się jeszcze z nimi i bliższą zawrzeć znajomość. Ale potem o tém.

Zaczynamy stępo tryumfalny wjazd na kwiszeczką górę. Droga pilnuje się stromego boku i gwałto-

wnie ku górze się wspina. Co kawał ujedziemy, nowa, dalsza spadzistość drogi odkrywa się oczom naszym. Przyszła chwila, że nie mogliśmy się dłużej patrzeć na mękę szkap nieszczęśliwych, i poszliśmy przodem piechotą, śpiesząc się żeby do nas nie dolatywał ochryply krzyk pocztyliona i niemiły łoskot bata. Po półgodzinnej podróży i my zaczęliśmy, jak pocztowe konie, robić bokami, doszliśmy bowiem do gęstego, gliniastego błota na drodze, a o wierchołku spadzistej góry ani słyhać. Zaspiani idziemy znowu pół godziny, ciągle po spadzistej drodze, i lżej nam się robi cokolwiek, bo błoto w grudę się przemieniło. Przebywszy trzywiorstową stromą spadzistość, doszliśmy nie do szczytu, bo droga i dalej ciągle ku górze się wspinała, ale przynajmniej do znacznie łagodniejszych spadków. Tu zmiana dekoracyi. Ziemia w śmiertelnej koszuli. Cały świat grubo śniegiem przykryty. Naturalnie nie były to wieczne śniegi, ale grudniowe, z któremi się po raz pierwszy spotykamy. Od kilku lat nie oglądałem tego widoku, i przyznam się, że choć mi rodzinne strony, dzieciństwo i pierwszą młodość przypomniał, wcale mnie jednak nie zachwycił, wyżłoca zaś moja, co go dotąd nigdy nie widziała, była nim stanowczo przestraszona. Martwość śniegu wynagradzały wspaniałe wi-

doki na Georgią. Kilkonastomilowe równiny, pasma gór jedne za drugimi, wioski, rzeki i lasy składały się na tę fioletową mozaikę.

Myśliwska żyłka oderwała mnie od pejzażowych kontemplacyj. Zszedłem cokolwiek z drogi i idąc rzadkimi krzakami, a przypatrując się z przyjemno-

(Ob. dodatek.)

## Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 42.

W dramacie *Zbójcy* Królikowski niemal przechodzi Dawisona talentem.

(Dodatek.)



ścią zajęczym kluczem, cokolwiek zacząłem się godzić ze śniegiem. Przez wdzięczność zrobił mi prawdziwą niespodziankę i pokazał prześlicznie wyciśnięte niedźwiedzie łapy. Myś, zapewne w nocy, chodził sobie pomalutku, często stawał, siadał i naspacero-wawszy się w różnych kierunkach, spuścił się do przyległego wąwozu.

Złączywszy się z doktorem i z powózką, powlekli-śmy się pod górę i po półmilionowej podróży, minawszy górną granicę lasów, stanęliśmy w Kajszaurze, wznie-sionym o 6,164 stóp nad poziom morza. Pokazało się teraz, że nasze ciągle skargi na powolność jazdy były nieuzasadnione; w kilka dni bowiem zajechali-śmy z Włoch aż do Laponii. W Mcchecie ostatnie jesienne kwiatki widzieliśmy na skałach, a kajsza-urskiego klimatu żadne, nawet karłowate drzewo nie znosi.

Oprócz stacyi pocztowej, widać opodal na skale cerkiew opasaną murem z basztą: jest to Cicholis-dzori. Prócz poczty i zameczku, nic więcej nie by-ło dookoła, tylko śnieg i śnieg.

Przed nami na Gudzie droga zasypana, na chłodno i głodno — oto nasza dola kajszaurska.

Nieprzyzwyczajony do mrozu Iwanes, skurczony i drżący, powitał nas georgiańskim przysłowiem: *Snieg biały, ale zimno brzydki przymiot.* Ledwieśmy się rozgadali, dzwonek jeden za drugim zaczął dzwonić, i w parę godzin całe towarzystwo jadące z nami od Duszetu, zgromadziło się w dwóch ciasnych pokoikach.

Wielki szum i gwar uciszył się na chwilę przed wieczorem, bo weszło do nas kilku Osetynów powra-cających z Gudu, w towarzystwie dwóch karabach-skich czarwodarów. Poważny *Chevis-beri*, co dosłownie znaczy *Starzec wwozu*, a właściwie wójt ose-tyński, pozdrowił nas i w te słowa przemówił:

— Wracam z Gudu, gdzie na pochyłości góry droga została zasypana. Przejechać na saniach do-pięro za dwa dni będzie można, ale już nasi od brze-gów tyle śniegu w przepaść dzisiaj zrzucili, że czło-wiek pieszy, koń, a nawet wielbłąd może przejść bezpiecznie. Komu z was pilno, niech się zgodzi z tymi ludźmi i siada na wielbłądy, bo ich karawanę będą nasi przeprowadzać.

Tu dwóch czarwodarów pokłoniło się nisko i jeden z nich rzekł:

— Sułtanowie! jedźcie z nami przez góry. Nie weźmiemy drogo, a miejsca będzie aż nadto, bo nic na nich nie wieziemy.

Po tych dwóch mówkach szum i gwar ciasnych pokoików w trójnasób się spotęgował, gdyż towa-rzystwo rozpadło się na dwa stronnictwa, na mniej-szość postępowo-wielbłądzią i na konserwatywną większość, wyczekującą sani. Obaj z doktorem zo-staliśmy od razu zajadłymi czarwodarystami, ze smu-tkiem widząc, że Eliko, a szczególnie Iwanes, rąco przystali do przeciwnego obozu.

Co wam to po tém — mówił nasz kochany jowialis-ta — *mysz ryła, ryła i kota wyrzyła.* Nie wyzywajcie nieszczęścia, nie kłucie Pana Boga. *Bóg popatrzył na ziemię i rzekł: wielu tam zmarłych przeciwko mojej woli.* Powiadają: *Idź po dłuższej drodze, byleś szczę-śliwie do domu wrócić;* to bardzo rozumna rada. *Prze-piórka nie siada na drzewie, bo to nie w jej naturze,* a wy chcecie niezgrabnego wielbłąda na dziką kozę przeistoczyć. Co wam to po tém? Zostańmy lepiej razem.

Był to groch na ścianę. *Byle przedził* stało się naszą ówczesną dewizą. Natychmiast umowa stanę-ła z czarwodarami i zaraz po północy mieliśmy w kil-ku w drogę wyruszyć, żeby jaknajraniej minąć szczy-ty, gdyż obwały zwykle dopięro spadają, gdy się powietrze ociepli. Czarwodary poszli śpiesznie do swoich towarzyszy pod kwiszecką górę, do tych samych cośmy ich rano widzieli, żeby na czas na-znaczony wielbłądy przyprowadzić.

Długo w noc szumiały samowary, gwar nie ucichał do północy, i ledwieśmy nie rozbiierając się zasnęli, już czarwodar w okno stuknął, wołając, żeby sułtanowie prędko wstawali, bo wielbłądy już przysły. Była godzina pierwsza. Rzeczy mieliśmy wszyscy zapakowane, więc guzdraniny nie było. Długi sze-reg wielbłądów stał przed pocztą. Każdy czarwodar dowodził szwadronem, składającym się z sześciu dwugarbnych wierzchowców. Zwykle każdy wiel-

błąd na Kaukazie ma nozdrza przekłute i przewle-czony przez nie długi sznurek zastępuje uździenicę, wędzidło, munsztuk i lejce. Żeby jeden przewodnik mógł swoich sześciu podkomendnych, chociaż łagodnych, ale często kapryśnych, w należyłym porządku utrzymać, w taki ich sposób w czasie marszu formu-je. Wielbłąda czołowego prowadzi nasznurku, idąc piechotą, jeżeli droga jest górzysta, siada zaś na niego na równinie; sznurek wielbłąda drugiego przy-wiązany jest do ogona wielbłąda pierwszego, sznurek trzeciego do ogona drugiego, i tak aż do końca. Dopięro wielbłąda szóstego nikt za ogon nie ciągnie i może nim swobodnie po powietrzu wymachiwać. Wielbłąd szósty ma jeszcze drugi przywilej, bo on jeden tylko nosi wielki dzwonek i ostrzega nim prze-wodnika, jeżeli się kolumna przypadkiem złamie i arygarda odłączy.

Przewodnicy ułożyli się między sobą, że każdy po jednym podróżnym zabierze; pochwylił więc moje rzeczy jakiś barczysty syn Karabachu i zaprosił mnie do swoich sześciu wielbłądów.

Rozpoczęło się wsiadanie. Przeznaczony mnie został pod wierzch wielbłąd drugi z rzędu. Jak tu wsiąść, kiedy wierzchowiec przykleknąć nie chce. Krzyczy na niego przewodnik, szarpie sznurkiem za nos, wielbłądzisko drze się swoim uprzykrzonym mazgajskim jękiem, ale nie kłęką. Poczciwy Iwanes co się zerwał z łózka, żeby nas przeprowadzić, śmie-jąc się, woła: *Wielbłąd rzekł: gdyby mnie nie zmusza-no przyklekać, najuczylbym świat cały.* Żart widać poskutkował lepiej niż sznurek, wielbłąd ukląkł, nie zaniechawszy jednak swego utrapionego jęku. Wła-żę na potworę leżącą z podwiniętymi pod siebie no-gami. Ledwie usiadł, zrywa się straszdyło, a że nie pierwszy raz miałem taką jazdę odbywać trzy-mam się więc silnie za grzywę przedniego garbu, bo wiem, jakie to gwałtowne naprzd i w tył oscylacje powstają przy szybkim wstawaniu wielbłąda. Już jestem szczęśliwie wydzwignięty nad poziomy. Choć strzemiem niema, choć nogi muszę bardzo szeroko rozpościierać, miękko mi jednak siedzieć na ogro-mnej, pilśnią wybitęj poduszce, co się zawsze na każdego wielbłąda kładzie, żeby dźwigane ciężary garbów nie odparzały. Umilkł przecie mój nosiciel, zapewne przekonawszy się, że niezbyt wiele ważę; ale inne wielbłądy drą się niemiłosiernie. Po długich krzykach czarwodarów i Osetynów, wszystko było gotowe. Po raz ostatni uściśniętem dłoń Iwanesa. Ruszamy długim sznurem. Sądny dzień się poczy-na. Najprzd wszystkie czołowe wielbłądy zaczy-nają się żalić na przewodników, że ich ciągną, potem jęczą wszystkie dalsze, bo za nosy zostały z nienacka pociągnięte; jęczą znowu, bo mają zanadto wytroko-wane ogony; słowem mazgajskim żalom końca niema, aż się mdło robi. Na nieszczęście coś się tam ciągle psuje i odwiązuje, bezustannie stajemy, i gdy przyjdzie nanowo się ruszać, znowu dawne lamenta się zaczynają. Uciszyło się nareszcie wszystko, prócz dzwonek. Nic się już nie odwiązuje i powle-kliśmy się zwolna pod górę.

Noc była ciemna, ale białość śniegów rozświecała ją potrosze. Wśród podróżnego grona panowało milczenie, a zresztą byliśmy poprzedzielani tak zna-cznymi przestrzeniami, że trzeba by krzyżać dono-śnie, dla zawiązania rozmowy. Kolba, biegnąc przy moim wierzchowcu, bezustannem, cichem, drżącym skomleniem robiła mi wyrzuty, żem ją uwiózł z jej cieplej ojczyzny i widocznie na zatrącenie wprowa-dził w te okolice zamrożone. Droga coraz to spa-dziściej wdzierała się ku górze. Żale Kolby, jęki wielbłądów, niewyspanie, śnieg, od którego odwykłem, noc, mróz i ból piersi na dziwną nastroiły mnie nu-tę: zdawało mi się że ziemia wraz z Iwanem i za-paloną świecą na poczcie została, ja zaś żywcem na czyscową drogę wstąpiłem.

Przez długich kilka godzin ujechaliśmy zaledwie milę. Dzień powitał nas na najniebezpieczniejszym punkcie daryalskiej drogi, na zachodniej pochyłości złowieszczego Gudu. Dziwny, biały, podbiegunowy świat nas otoczył.

U nas na powieściu często zimą w czasie śnieżnej zadymki tworzą się w opłotkach, albo koło ścian bu-dynków śniegowe zaspas najróżnorodniejszych kształ-tów. Mucha, chodząca po takich zaspach, oglądała-by takie widoki, jakie na szczytach Kaukazu ujrza-

łem. Gór iskał od olbrzymich zasp nie można było odróżnić; wszystko zdawało się że jest ze śniegu, témbardziej że prawie każda góra miała na wierz-chołku straszny, podwinięty kołnierż śniegowy, co ją do zasp robił podobną. Te kołnierze, to przyszłe kłęski okolicy, to niezawodne obwały. Kawałek takiego kołnierza kilka wsi może zasypać.

Jedziemy w poprzek spadzistej równi pochyłej. Na prawo szczyt Gudu jeżący się kołnierzami, na lewo przepaść pochyła, parę tysięcy stóp głęboka, w głębi Aragwa, tylko co urodzona pod górą Sychą, ale jej nie widać, bo obłoki przepaść zasklepiły. Tam do tej przepaści wszystkie obwały z Gudu się toczą. Każdy w przebiegu musi o drogę potrącić i śniegowy obłamek na nią zostawiać, nad którego zgarnięciem seciny ludzi po całych tygodniach pracują. Droga widocznie już tej zimy nawiedzana była przez ob-wały. Kilkosazniowe, śniegowe ściany, dźwigające się tuż przy niej po prawej stronie, świadczą o tém wymownie, równie jak o pracach Osetynów, gdyż téjże grubości śnieg trzeba było z drogi uprzątać. Gdzieś tam szerokie pasy ubitego śniegu, z góry na dół idące, co je w poprzek przejeżdżamy. Są to gościńce wydeptane przez staczające się obwały.

Jadąc ciągle po pochyłości Gudu, dostaliśmy się do miejsca najświetszego obwału. Mamy na prawo śniegową grubą ścianę, na lewo, jak zawsze, pochy-łą przepaść, przed nami drogę przedzierzającą się w wąską ścieżkę, na której, choć to tak rano, już Osetynie pracują. Pomogli czarwodarom przepro-wadzić wielbłądy nanowo lamentujące, i po dziesię-ciu minutach jesteśmy znowu na drodze, wspinając się coraz wyżej. Doktor złożył dłonie na ustach, żeby go dalej słycać było, i krzyczy do mnie z odle-głości kilkunastu wielbłądów:

— Nie taki straszny diabeł jak go malują!

Ja z kolei składam ręce i krzyczę:

— Nie mów hop, póki nie przeskoczysz!

(Dokończenie nastąpi.)

## Przegląd piśmienniczy.

Wiktorya Regina. — Ze wspomnień narzeczonej ułożył Jan Za-charyasiewicz. Warszawa, 1868 roku.

Jest to powieść bez intrygi: rolę czynników intry-gowych odgrywają tu pewne pojęcia i zasady, treścią jej życie wewnętrzne, a bohaterką kobieta. I założe-niem więc i formą utwór ten należy do tych powieści, w których koloryt psychologiczny przeważa nad mo-zaiką faktów, w których nie fakta wywołują pewne zwroty duszy, ale przeciwnie, postanowienia i zasa-dy duszy tworzą sytuacje stanowiące powieściową grupę. Los tyle tylko tu jest czynnym, ile potrzeba, aby zasadę ze stanu teorii pobudził do praktyczne-go rozwinięcia.

Gdzie faktów zewnętrznych niewiele, tam treść ogólna jest bardzo krótka. Gdyby nam szło tylko o przedstawienie rezultatów moralnych tej książki, moglibyśmy treść jej objąć w kilku słowach; ale że wypada nam dać wyobrażenie i całkowitę myśl tak znaczącego utworu i strony jego artystycznej, przeto musimy się wdać w obszerniejsze szczegóły, którychby należyte wykazanie mogło poniekąd już stanowić ocenę postaci głównych.

Opowiadanie ma formę pamiętnika saméjże boha-térki. Wiktorya-Regina jest córką obywatela śro-dniej zamożności, ale wysokich stosunków. Utraciw-szy w dziecinnym wieku matkę, oddalona przez sześć lat od wszelkiego kobiecego wpływu, rozwinęła się umysłowo pod wpływem natury i własnych natchnień, przy pomocy niezłe zaopatrzonej biblioteczki, stara-niem matki urzędowej. Świat ze swemi przesada-mi, ze swemi małostkami, którym wielkie przypisu-je znaczenie, nie miał na nią żadnego wpływu; para-wany jego salonów i wymagań nie zastąpił przed jej oczami wielkich celów życia, jedynych do których człowiek dążyć powinien; więc też serce Reginy nie było zbałamucone fałszem, umysł kierowany wybo-rowemi dziełami zyskał powagę i gruntowność. Regi-na, doszedłszy wieku dojrzałego, rozumiała co jest prawdą, patrzyła na świat z wysoka, brzydziła się tuzinkowością uczuć i pojęć; słowem, wedle ludzi powszedniej skali, była marzycielką.



W takim usposobieniu zastaje ją stryjenka z córką swą Ewunią, które, po pięciu latach niebytności, pierwszy raz przybyły odwiedzić krewnych — i niebawem wszczęły rozmowę o potrzebie wydania Reginy za mąż. Regina nie była od tego, ale za mąż pójście uważając nietylko za obowiązek towarzyski, lecz i za duchowe szczęście, takie postawiła jego warunki, że poczciwe a pospolite kobiety zdradzały o jej przyszłość i ojca nawet wciągnęły w cień swego przestרחu. Z tém wszystkiém poczyniono sobie wzajemne ustępstwa, i stanęło na tém, że Regina nie będzie przynajmniej, tak jak bywało dotąd, bronić do siebie przystępu konkurentom, aby się przecie w nich rozpoznać, i znalazłszy, wybrać odpowiedniego sobie za męża.

Wkrótce też zjawił się w dom gość, w osobie dziecka wielkiego imienia, ale ten nie miał żadnej myśli o małżeństwie. Obojętny, nieco sarkastyczny, nietylko że się nie myślał zalecać, lecz nawet uwagi zdawał się na jej powierzchowność nie zwracać. Z tém wszystkiém w krótkiej rozmowie, jednego tylko wieczoru, okazał jej pewną wyższość umysłową, rzucił kilka zdań bardzo różnych od komunalnej gadaniny sobie podobnych, na niezmyśloną grzeczności Reginy odpowiadał dowcipnie ale surowo, zawiązał się i zniknął bez dalszej wieści, zostawiwszy jednak w umyśle dziewczycy, nienawykłej do takich zjawisk, niezatarte wrażenie chwilowego stosunku. Ze sposobu jej opowiadania widać, że ten człowiek mógł być się jej podobać, choćby przez to tylko, że jej zamponował, że dostrzegła w jego charakterze siłę meżką, pewną oryginalność, nic zaś z tego, co znamionuje stereotypowego salonów adonisa.

Jeszcze się nie stał uroczy pyłek marzeń, który za sobą rozsypał pan Andrzej, kiedy krewnie Reginy sprowadziły z sobą prawdziwego konkurenta. Był to młody obywatel, znacznie zamożniejszy od jej ojca, a więc bezinteresowny; a lubo Regina, nie ufając rekomendacyom krewnych, przygotowała się zobaczyć w nim jednego z tych, co małżeństwo traktują na stopie interesu towarzyskiego, mniej lub więcej korzystnego, stało się zupełnie inaczej. Cezaryusz nie wydał jej się absolutną pospolitością, umiał uznać w niej wyższość, zachwycił się nią, pokochał i ona poczuła w nim to rzetelne, niewyrachowane przywiązanie. Szanowała go też, była mu życzliwą, ale daremnie doszukiwała w sobie uczucia żywszego; cień Andrzeja stawał chwilami między nią i Cezaryuszem. Ten nieustannie rozwijał starania, aby uczucie jej rozbudzić ku sobie; tamten z nią chwilę tylko spędził, i to dla siebie bardzo obojętną, nie znała go wcale, zapomniała o nim, a jednak nasuwały się jej porównania, które, domyślać się możemy, nie były z korzyścią dla Cezaryusza.

Ojciec i krewnie, mianowicie Ewunia, która już wyszła za mąż, nalegali na Reginę, aby raz zakończyła sprawę dręczącą troskliwość ich o jej przyszłość; Regina starającemu się w sposób najszlachetniejszy o jej rękę nie miała nic do zarzucenia, serce jej szło ku niemu, a jednak nie miała odwagi postąpić tak daleko, aby odwrót był już niepodobnym. Nietrudno tu domyśleć się, że go nie kochała jeszcze, że nie był to ten, którego ona widziała w marzeniach swoich; a z tém wszystkiém trzeba było się decydować, albo uchodzić za wariatkę, ba, może na dobre zwaryować, wśród nieustannych targów i wątpliwości.

Zwierzyła się ze swych perpleksyj jednej sędziwej przyjaciółce, która poradziła jej aby uznała się za narzeczoną, a wtedy serce jej śmieliej pójdzie naprzód, umysł się rozwidni, bo czarujące to miano ma sprawić cuda w usposobieniu dziewczycy. Regina poszła za tą radą i rzeczywiście cud ten spełnił się na niej. Jakim sposobem? Tegośmy z pamiętnika stanowczo dowiedzieć się nie mogli. Jest to chyba jakieś misterium, które tylko wtajemniczeni jasno odczuwać mogą; nam się to trochę ciemnym wydało. Dostyc że Regina, w skutek tego wtajemniczenia, zyskała swobodę i wesołość, i z cudownego przedsiönka zaglądała już bez trwogi w otwartą świątynię małżeństwa. Cezaryusz wydał się jej miłszym, kochańszym, patrzyła nań z upodobaniem, jak na coś swojego, a że był wielce uszczęśliwionym, o tém nie wątpimy bynajmniej i rozumiemy to doskonale. To ogólne uszczęśliwienie domowe oddziaływało i na umysł Reginy; przechodząc kolejno z objęć ojca

w uściski stryjenki i Ewuni, patrząc w roztopione szczęściem oczy Cezaryusza, biedna narzeczona nie miała zrazu czasu opamiętać się w swém nowém położeniu; z mordowana, pragnęła chwili spoczynku, aby z sobą rachunek zrobić.

Rachunek wykazał, że daremnie byłoby wmawiać w siebie zmianę istoty rzeczy. Cezaryusz kochał, to pewna; ale jakież składał miłości swojej objawy? Prezenciki drobne i drogie cacka, to w czém pośredniczy sakiewka i sklep, nic z siebie samego. A ona pragnęła człowieka, darów duchowych, wyższości, wyższości! Skorzystała więc z piérwszej sposobności, aby narzeczonemu powiedzieć raz na zawsze, iż ona pogardza drobnostkami i to tylko ceni, co nosi na sobie piękno duchowej zasługi, samodzielności, że tego wymaga od męża. Cezaryusz zrazu zasmucił się, nie pojmował, tłumaczył się brakiem pola do dzielnych czynów. Wszystko to zwyczajko odparła Regina, wskazała mu drogi blizkie a pożytku pełne. Cezaryusz przejrzał, wziął do serca myśl narzeczonej i poszedł na wskazane przez nią drogi; zaczął udzielać opiekę nędzy i ciemnocie, z przejęciem się, z zapalem, z przekonaniem. Regina pokochała go za to stanowczo, a jednak jeszcze oddalała termin ślubu, jakby nie wyczerpała do dna wątpliwości. Dlaczego? Wszak teraz Cezaryusz był zupełnie człowiekiem według jej serca, urobiła go podług siebie.

Wątpliwości odzywające się w sercu Reginy, których zagłuszyć nie mógł hałas szczęścia jaki koło niej robili opiekunowie, miały swoje zasady. Według pojęć Reginy, meżczyzna wstępujący w przyszłość jaką mu zakreślało koło małżeńskie, nie powinien przynosić tam z sobą nic, czego by żałował z przeszłości, coby po za tém kołem z konieczności zostawić musiał. Wymaganie zbyt uciążliwe i subtelne, ale dla niej przynajmniej konieczne; zbijać go też nie będziemy.

Stało się jednak inaczej. Cezaryusz stanął przed Reginą jeszcze nieostygły z poprzednich zapalów. Znał on, kochał i porzucił inną dziewczę, która dlań umierała z miłości. Porzucił nie ze złego serca, ale przez słabość charakteru, przez hold dla konwencyonalizmu światowego, przez to, że Halina z panny do statniej stała się ubogą dziewczyną, niezdolną reprezentować towarzyski magnackiego dziedzica. Formalnie nie był on jej narzeczonym jeszcze, nie zdążył się oświadczyć i nie był urzędowo przyjętym; zerwał stosunki w porę wedle świata, ale nie wedle Boga i sumienia. Słowa stanowczego nie wymówił; ale w stosunkach kochanków jest silniejsza od słów wymowa, która obowiązuje. To też Cezaryusz, który zapominał o tém wszystkiém, który kochając, opuścił zimno przedmiot uczucia swego i to dla tak nikczemnej przyczyny, wydaje nam się człowiekiem znającym zasady uczciwości tylko z reputacyi.

A jednak Halina, jest to nader interesująca dziewczica, która posiada wszystkie uszczęśliwiające przymioty. Po stracie ojca, po stracie majątku, po stracie szczęścia osobistego, wynajęła skromny domek pod miastem, wzięła się do pracy ręcznej, do haftu, znosząc niedolę swą z godnością detronizowanej księżniczki. Wtedy to, z okazji przyborów wyprawnych, poznała ją za przybyciem do miasta Regina, oceniła, zrozumiała i zbiegiem okoliczności dowiedziała się wszystkich szczegółów. Wtedy też rozpoczął się istny dramat.

Los kochającą już Cezaryusza Reginę postawił w takim dylemacie: poświęcić szczęście własne, czy przejść do tego szczęścia po nieszczęściu cudzém; zostawić Cezaryusza sobie, czy oddać go Halinie? Dla kobiety pospolitej nie byłoby to żadnym do namysłu przedmiotem; Regina uczuła się stojącą na stanowisku wielkiej próby. Kochanek, narzeczony, nie jest to przedmiot łatwy do zbycia, z nim razem serce wydziéra się; tu ofiara nietylko że nie jest łatwą, ale łatwo może stać się nielogicznością, śmiesznością nawet; *du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas*.

Z drugiej strony, czyż Regina dziś, znając okoliczności, może uważać Cezaryusza za swą własność, jeżeli kto inny do niej produkuje tak niezaprzeczone prawa, za któremi przemawia cały kodeks niezasłużonych boleści i lez złamanego życia? Trzeba tedy przejść pomiędzy ślepa egzaltacją heroizmu i surowem

wykonaniem powinności, i w tém przejściu łamie się z sobą dusza Reginy.

Po długiej, tajemniczej walce, bohaterka nasza powzięła postanowienie godne jej rozumu i serca. Przedewszystkiém przekonać się musi, czy Cezaryusz stanowczo stracił uczucie dla Haliny, czy związek ich byłby połączeniem ciała tylko z ciałem, a więc bez obustronnego szczęścia, czy też przeciwnie. W tym ostatnim razie, to jest gdyby Cezaryusz, przypatrzwszy się owocom swjej zdrady, zachwiał się w nowém uczuciu i powrót do dawnego nie był dlań niepodobnym, miłość jego dla Reginy nie była tém uczuciem jakiego ona pragnęła, z jakim byłaby szczęśliwą; więc utrata jego jest jej nakazana, a ofiara staje się obowiązkiem.

Niewinnym tedy podstępem wprowadza ona nieświadomego rzeczy Cezaryusza w dom Haliny, śledzi jego wrażenia i postępowanie. Próba się udała. Cezaryusz, dotknięty do głębi duszy, od żalu za swój czyn przechodzi do coraz większej czułości i kryje się przed Reginą; zrazu z wielką przykrością, potem z zadowoleniem powtarza swoje nawiedziny, których sposobność wciąż nastęrcza mu podstępnie i tajemniczo Regina. Uczuwa nareszcie całą grozę swego położenia, truje się myślami, aż Regina, z mordowana i czuwaniem i widokiem jej cierpień, zdobywa się na ostateczne wysilenie, odstawiając prawdę. Kochająca jej ręką zwraca to co zerwała światowa lekkomyślność i egoizm.

Ale ofiara darmo nie przychodzi: choroba, a po niej smutek, kirem oblokły dom o który rozbijały się plotki sąsiedzkie, i byłoby tam smutno aż dotąd, gdyby w lat kilka nie był zawitał doń znowu ten sam zimny i surowy pan Andrzej, ponętniejszy jeszcze urokiem zasługi jaka spoczęła na jego pooranej głowie. Domyślaliśmy się, że jeśli kiedy raz jeszcze zajrzy tam pan Andrzej, to już zostanie nazawsze. I mieliśmy słuszność w domyśle.

Myśl główna tego utworu sama się zaleca, i za zasługę winniśmy poczytać autorowi, że wybrał przedmiot sięgający jednej z najpoważniejszych kwestyj społecznych, to jest pogląd na znaczenie i warunki małżeństwa. Przedmiot taki w powieści, jeśli ma godne siebie przedstawienie, wychodzi już z zakresu obrazków i podnosi utwór do rzędu dzieł kształcących pojęcia i sądy. Rozmaici rozmaite miękają teorye małżeństwa; p. Zacharyasiewicz starał się okazać, że jedyną teorią godną sakramentu jest ta, która nie dając dostępu żadnym ubocznym względom, zasadza się na zobopólnej a trzeźwej miłości i na dobrze ugruntowanym szacunku: wszelkie inne są albo lekkomyślnością, albo spekulacją w pewnej mierze, a tém samém nie przynoszą szczęścia i wnoszą do rodziny jakiś żywioł fałszu. Małżeństwo wedle podobnej teoryi zawarte, jest w pewnej mierze legalną prostytutką. Dziewica, która idzie za mąż bez przekonania, że ten którego sobie wybrała za nieodłącznego towarzysza życia spełnia jej ideał, ale która czyni to dlatego, że każda panna powinna raz iść za mąż, że czas upływa, że inny konkurent nieprędko zdarzyć się może, że niepodobna zostać starą panną, i z tym podobnych względów; dziewczica taka, oddając się mężczyźnie bez tego ślubu serca, który Bóg zapisuje w niebie, nie jest jeszcze poślubioną w duchu i prawdzie, nie jest w idealnym znaczeniu żoną, choćby była na ziemi w dziesięć ksiąg małżeństw zapisana i przez stu świadków poręczona. Cóż dopióro mówić o tych, którym jedynie i wyłączną zamożność i karyera służą za dźwignię do wyzyskiwania praw sakramentu! Dość też spojrzeć po małżeństwach w ogóle, aby przekonać się po skutkach, jaka teorya przewodniczy w znacznej części ich kojarzeniu się. Gdzie tam szczęście, gdzie zadowolenie, gdzie dobry przykład?

Jedną z takich małżonek przedstawia tu Ewunia. Poszła ona za mąż bardzo dobrze, bardzo rozsądnie, według opinii świata; nie przez żadną wprawdzie spekulacją, ale przez prosty konwenans, aby nie stracić przyzwoitego konkurenta, aby nie być wybrędną. I do takiej też teoryi usiłuje wszelkiemi sposobami nakłonić Reginę. Ta, po pewnym przeciagu czasu, spostrzega chmury na twarzy Ewuni, domyśla się ich przyczyny, widzi nicosć jaką dobry a ograniczony mąż ją otoczył i pyta Ewuni: czy to ty mnie do takiego namawiasz szczęścia? a sama jesteś szczęśliwą? Ewunia, po krótkim wahaniu się, odpo-



wiada jej łzami zawodu; czy te były pierwszą prawdą, przeczącą słowom. Regina miała słusność nie spieszyć się do takiego szczęścia.

Regina jest tu przedstawicielką teorii zdrowej, istotą, która wszystkimi siłami samodzielnej duszy, aż do jej rozerwania, walczy za swój ideał i broni do upadłego tej uczuciowej twierdzy, w której zamknęła świętość swoich zasad. Do ostatka też jest niezłomną i konsekwentną, choć nie we wszystkich szczegółach. Autor, chcąc do ostateczności doprowadzić się uczuć Reginy i uroczystość odsłonić niezłomność jej zasad, przywiódł ją aż do kresu, poza którym niema już nic, — do ofiary. Ofiara nie mogłaby mieć miejsca, gdyby Regina nie kochała Cezaryusza. Ale właśnie, czy ona go kocha, czy mogła go kochać, jest to dla nas kwestya, a kwestya to już czysto artystyczna.

Cezaryusz jest tu istotą zupełnie bierną, niedołężną, nawet w tej bierności swój blado wykonaną. Czy w tym artyzm nie dopisał autorowi, czy też autor chciał tego, dosyć że w Cezaryuszu niema nic takiego, coby uprawniało miłość kobiety nietylko takiej jak Regina, ale nawet stojącej o kilka stopni niżej od niej na skali intelektualnej. Oprócz podania jej ręki na ratunek przy załamaniu się ziemi nad przepaścią, niema tam żadnego czynu, żadnej sytuacji, któraby go przedstawiła w świetle jakieś przyświeca w królestwie Amora. Wprawdzie budzi się on na głos Reginy i poczyna działać, czem zjednywa sobie jej serce; ale biadaż to mężczyźnie, kiedy aż kobieta musi mu wskazywać jego najelementarniejsze obowiązki. Jakież to są wreszcie te jego dzieła? Przysługi pojedyncze, uczynki miłosierne w zakresie parafii. Bardzo to piękne, lecz jeżeli to wystarcza mężczyźnie silnemu, mającemu pretensje do wyższości, kochankowi kobiety istnie niepospolitej, to cóż się zostanie dla inwalidów i niewiast? Ale mniejsza o to, niechajby go już i zbudziła kobieta, lecz niechżeby to było zbudzenie się lwa, niechby z tego uderzenia laski czarnoksiężki trysnął jakiś źródł idei rozleglejszej, oryginalnej, prawdziwie mekkiej. Jego stałe przywiązanie, jego mianowicie karność i posłuszeństwo względem Reginy, mogły w niej zapewne wzbudzić przychylnie dla niego uczucie, ale to chyba tego tylko rodzaju i stopnia, jaki mamy dla przywiązanego i potulnego dziecka, nigdy zaś takie, któreby ogarnęło całą istotę i stało się drugim życiem dla kobiety tak wielkiego charakteru, jaką tu ma być Regina. Ale ta powołana była do spełnienia ofiary ze swą miłości, musiała zatem kochać, inaczej nie byłoby ofiary; załujemy niezmiernie iż jej musimy wierzyć na słowo, bo sam kochanek nas o możności tego uczucia nie przekonywa, i prędzej gotowibyśmy uwierzyć, że to uczucie było tylko ułudą imaginacyi narzeczonej.

Sam autor nas niejako do tego upoważnia przez wprowadzenie Andrzeja, który chwilami, jak cień Banka, staje śród smutków i wesela Reginy. To jego ukazywanie się, wrażenia bohaterki przy tych wspomnieniach, jej własne słowa jakie w tych chwilach wymawia, są lekką insynuacją, że serce jej zawsze jest gotowem na jego przyjęcie. Autor, wprowadzając Andrzeja tylko w prologu i w epilogu, usuwa go ze sceny na czas, póki na niej inni aktorowie odgrywają wyznaczoną rolę, ale trzyma go zawsze w odwodzie, aby po katastrofie nie zostawił Reginy osamotnionej i po burzy sprowadzić słońce, które też przychodzi, ale nieco jako deus ex machina.

Właściwie, jeżeli ten utwór mamy sądzić na skale powieści, jedyną w nim postacią skończoną, formami odpowiednią pomysłowi, jest tylko sama Regina, skoro w każdym razie zamknijemy oczy na jej niezrozumiałość dla nas miłość ku Cezaryuszowi. Ponieważ ona sama mówi o sobie i za siebie i za sobą, była niemała dla autora trudność uniknąć samochwalstwa w ustach bohaterki, a jednak wystawił ją w tym świetle wielkości jaką zamierzył. Dokonał jednak tego nietylko z powodzeniem, ale nawet z pewnym mistrzostwem. Jedyny punkt który razi jest ten, że Regina w czułości swą dla Cezaryusza nie pogardza nim, nie odpycha go od serca nawet wtedy, gdy dowiaduje się, że on dla ubóstwa porzucił dawną kochankę, ale trwa w uczuciu swoim i szuka kompromisu, stara się go wytłumaczyć, postąpieniu jego przypisując jakieś okoliczności łagodzące. Lecz jeden punkt ciemny nie zasłania postaci, którą ota-

cza ciągła i szeroka aureola światła. Zawsze Regina będzie jedną z najudatniejszych kreacyj p. Zacharyasiewicza,

Obok niej w podobnym blasku mogłaby być stanąć i Halina, nawet z razu zanosilo się na to; ale zewnętrzna okoliczność przerwała rozwinięcie szkicu. Autor do treści powieściowej, a nawet wysoko dramatycznej, użył formy pamiętnika. Otóż opowiadanie w pierwszej osobie, jak listy, a co gorsza pamiętnik, ma wielkie niedogodności i do pewnych tylko przedmiotów daje się zastosować. Tu było ono zupełnie niewłaściwem i zaszkodziło utworowi. Jakoż Halina, dopóki ma sposobność osobistego zetknięcia się z Regina, dopóty przedstawia się dość obrazowo, jak przystało na powieść; opowiada jej swoje dzieje, odsłania różne strony duszy i wykazuje charakter. Później, kiedy Regina naprowadza do niej dawnego kochanka, następują oczywiście bardzo interesujące sceny dla psychologa i poety; z tych scen powinny powstać szeregi obrazków charakterystycznych, pewne popisy patosu dramatycznego. Otóż autor znalazł się tu w kłopotcie; bo z przyjętej formy sam nie mogąc być tym scenom obecnym, ani umotywić obecności Reginy, wynajduje jakiegoś próżniaka miejskiego znajomego Reginie, który na jej zalecenie chodzi podłuchiwać w ogrodzie i piąte przez dziesiąte zdaje jej relacyę z tego, co mu się udało widzieć i słyszeć. Pominawszy nieestetyczność i niaturalność takiego środka, sceny te, przez trzecie pośrednictwo przeprowadzone, musiały zwietrzeć i utracić znaczenie, a innego sposobu już nie było na nie. To też i cała postać Haliny wyszła tylko w połowie.

Nie będziemy się tu rozwodzić nad drugorzędne figury, jak ojciec Reginy, jej stryjka i Ewunia, które wreszcie tyle zajmują tu miejsca, ile potrzeba, i wcale dorzecznie, mianowicie obie kobiety, z ról się swoich wywiązują.

Całość tych wszystkich szczegółów, jako opowiadanie pamiętnikowe, ma formę wdzięczną, szlachetną, która wyjawia nietylko głębsze zastanawianie się nad poważnymi zadaniami życia, ale i studia nad naturą i usposobieniami serca ludzkiego. Autor niejednokrotnie tu wdaje się w subtelny i nader trudny analizę delikatnej strony uczuć i pragnień kobiecych, śledzi ledwie dostrzegalnych drgnień fantazyi, i jakoś zawsze mu starczy sił i dowcipu na ich ugrupowanie i wyprowadzenie bardzo logicznych wniosków moralnych. Zdarzają się tu i owdzie pewne rozwlekłości, które forma pamiętnikowa znosi, choć cierpi na tym tok powieściowy; zdarzają się i usterki językowe, których dla honoru piśmiennictwa i dla dobra autora radzimy się pozbyć; ale z tym wszystkim, pod względem i myśli i obrobienia zewnętrznego, ogół śmiało do rzędu świetniejszych publikacyj zaliczyć możemy. Byłby zapewne świetniejszym jeszcze, gdyby posiadał lekkość, wytworność stylu i obrazowość Sanda, lub choćby Gabryeli.

Kazimierz Kaszewski.

## SILNI I SŁABI.

Wzorki w wolnych chwilach wycinane.

(Dalszy ciąg).

### XVII.

— Ten twój narzeczonej, mówiła pani Machowska do Róży, to sknera, kutwa, samolub.

— To prawda, moja mamó, odpowiedziała córka.

— Wczoraj zażądałam od niego lichych stu rubli; przecież nie jego, tylko twoje i dla ciebie potrzebne. Powiedział mi że zapłacił za dom który kupił, i nic już nie ma w gotówce. Ale to kłamstwo, wszystkiego nie wypłacił od razu. Zresztą przecież wie, że tu bez dużych wydatków się nie obejdzie; ale chciwy na pieniądze. Nie będziesz miała wielkiej z niego pociechy.

— Zapewne, moja mamó, rzekła Róża, pochylona nad szcieniem w framudze okna.

— Jak go teraz tak przyzwyczaisz do ściskania worka, to ci potem będzie liczył krupy do garnka. Nie spodziewałam się wcale po nim takiej obrzydliwej chciwości. I nietylko ja jedna, wszyscy ludzie go ganiają. Między kolegami nie ma przyjaciół;

powiadają że tylko starszym się łąsi, a równych lekceważy. Czy to tak być powinno? Wcale ci nie przynosi zaszczytu twój narzeczonej.

— Wistocie, moja mamó, odezwiała się Róża monotownie.

— Ze mną się o lada grosz targuje, a ojcu ubliża; pozwala sobie żartów z jego słoików i plastrów. A jemu co do tego? Dawniej nie był taki hardy. Trzeba żebyś mu słowa prawdy powiedziała, tak w cztery oczy; daj mu wyraźnie uczuć, że nie podobna ci się jego postępowanie.

— Moja mamó, rzekła Róża, kładąc robotę na stole, ja myślę że lepiej uwiadomić go, że mama nie chce go za zięcia, że zmieniły się nasze zaniary.

— Co?! zawołała pani radczyni, zdziwiona i zmieszana tak niespodzianą propozycją; co tobie do głowy przychodzi?

— Dawno już spostrzegać zaczęłam, rzekła Róża wstając od swego stolika, że nie mam prawdziwej skłonności do Tomasza, dawno chciałam powiedzieć o nim to, co mama teraz powiedziała, tém lepiej więc że się na jedno zgodzamy.

Stanowczy ton mowy Róży przekonał panią Machowską, że wpadła we własne sieci. Trzeba było próbować odwrotu, udając zagniewaną.

— Otóż to, wdajże się tu w rozmowę z głupią dziewczyną! Ja wcale nie do tego zmierzałam, a ona zaraz z grymasem jakimś. Widać także ci pieniądze zawróciły głowę. Że się gada na Tomasza, no to tak między sobą; jużćie każdy ma swoje wady. Czy myślisz że anioła za męża dostaniesz?

— Nie anioła, ale zacnego i pełnego charakteru człowieka, a przekonałam się że Tomasz takim nie jest. Dawniej był tylko lekkomyślnym, a teraz, teraz jest niedobrym.

— Cóż on ci zrobił?

— Mnie nic, ale całe jego postępowanie... Owych pieniędzy, które na ubogich dałam, zapomniać nie może.

— Bo też to było niepotrzebne. Mogłaś dać, ale mniej.

— Ojciec mówił że tydzień temu robiono w biurze składkę na jednego z kolegów Tomasza, chorego od kilku miesięcy, mającego żonę i dzieci. Każdy dał choć kilka złotych, tylko Tomasz odmówił, dodając że gdy przed rokiem chorował, nikogo o składkę nie prosił.

— No, jużci powinien był dać, kiedy wszyscy dawali. Ale z drugiej strony dobrze że oszczędny i gospodarny; żeby tak wszystkim dawać, toby i samemu zbrakło.

W tym rodzaju długo toczył się spór, nierozważnie wywołany gderaniem pani Machowskiej. Przedstawiła teraz córce trudność zerwania, kiedy już rzeczy tak daleko zaszły, trudność wydobywania pieniędzy po zakupieniu domu za wspólny majątek, o co matce głównie chodziło, skandal wreszcie, który odstraszony innych konkurentów. Ale łagodna Róża wytrzymywała atak matki z nieugiętą stałością.

Znękana kilkogodziną utarczką, gniewem, a nawet łzami, wybrała się Róża do kościoła. W zmartwieniu swoim czuła potrzebę poczerpnięcia siły w modlitwie i modliła się długo, szczerze i gorąco. Pierwszy raz w życiu działała niezależnie, bez poparcia matki, a nawet wbrew jej woli; to też pełna była wewnętrznej trwogi i niepokoju. Wracając, spotkała Józefa przed wznoszoną budowlą, w bramie oparkania, była to bowiem godzina dwunasta, czas wytchnienia południowego.

— Dzień dobry, kuzyneczko, zawołał do nadchodzącej. A cóż to mój promień dzisiaj trochę za chmurą, jak mi się zdaje.

Promieniem żartobliwie przezwał ją Józef, dlatego że jasna i wesoła jak owo słoneczne dziecię, migłała mu się tylko czasami, przechodząc przez ulicę, darzyła skinieniem, uśmiechem, kilku słowami pozdrowienia i znikła.

— Promień ma zmartwienie, rzekła Róża bez ogródki.

— Doprawdy? cóż my biedni ziemianie robić będziemy, gdy nam promienie płakać zaczną, zamiast świecić. Ale bez żartu, kuzynko, w twoich oczach ślady łez; co takiego się stało?

— Nie mogę ci tak naprędce wytłumaczyć mo-



ich kłopotów. Przyjdź do nas wieczorem, to się dowiesz.

— Długo mi będzie czekać do wieczora. Odpro-wadziłbym cię kawałek; ale w tej bluzie robotniczej nie wypada mi iść obok tak ładnej damy. Chyba tak zrobimy: idź naprzód, a ja za tobą o trzy kroki, jak przystało na ciesielskiego robotnika, będę szedł i słuchał twojej relacji.

— Wcale nie pora do żartów, rzekła Róża, pociągając go za rękę, a uszedłszy kilka kroków, zapytała zniżonym głosem.

— Powiedz mi tak szczerze, jak brat i przyja-ciel, jakie jest twoje zdanie o Tomaszu?

Twarz Józefa przybrała wyraz poważny.

— Niewłaściwe mi zadajesz pytanie, kuzynko. Za-nagle mnie stawiasz w roli sędziego, nie przedsta-wiwszy nawet sprawy.

— Przepraszam cię, ale taka jestem skłopotana, że prawdziwie nie wiem jak zacząć. Powiem ci więc, że postanowiłam zerwać z Tomaszem.

Najwyższe zdziwienie wyraziło się na twarzy Józefa; w oczach przemknęła się nawet błyskawica radości. Powstrzymał ją jednak prędko, zatopił wpo-miesznęj dziewicy przenikliwe, badawcze swoje oczy i znowu zapytał:

— Co się stało?

— Nic, tylko czuję że nie mogę kochać Tomasza, rzekła Róża, zarumieniona jak kwiat, którego nosiła nazwisko.

— Kłótnie kochanków, dęszcz wiosenny... mówił Józef zwolna i z uśmiechem, starając się całej rozmowie lekki ton nadać.

— Nie, odparła poważnie Róża, jesteś w błędzie. Zapytałam cię w początku rozmowy o zdanie twoje o Tomaszu, ale widzę, że nie wypowiesz mi go szczerze, uważając mój zamiar za chwilowe dąsy. A jednak chciałabym zkańdokolwiek mieć szczerą radę, bo w domu jej nie mam.

— Chcesz rady? rzekł Józef po chwili milczenia; bądź przekonana że dam ci szczerą. Nie działaj za porywcz, nie przystępuj do zerwania w pierwszym zapale gniewu, po pierwszym powziętym zamyśle; daj mu dojrzeć, lub spełznąć; badaj rozważnie i długo twoje serce, a potem idź za jego głosem. Wszak jeszcze nic nie powiedziałaś Tomaszowi?

— Nie, on się nie domyśla nawet, że oddawna tak mocno nie podoba mi się jego postępowanie. Zresztą on teraz taki zajęty, że mniej się z nim widuję.

— Może chcesz żebym ja był pośrednikiem. Dam mu do zrozumienia, że cię obraził, że powinien być baczniejszym na swoje postępowanie.

— Żle rozumiałeś mnie, jak widzę. Nie idzie mi o chwilowe zaniedbanie; czuję, że nie mogę z nim być szczęśliwą.

Józef znów bacznie spojrzał jej w oczy. Zarumienie nie tłumaczył drażliwością przedmiotu rozmowy. Tomasza sam w duchu mało cenił; osobiste jednak uczucia, a nadto nagłość zmiany usposobienia Róży, nie dozwalały mu wystąpić z najlżejszą naganą Tomasza.

— Ha, powtórzę więc to, com już przed chwilą powiedział: radź się tylko własnego serca.

Serdeczne uściśnienie ręki zakończyło tę rozmowę.

— Jeżeli Tomasz straci ten złoty promień słońca, rzekł sobie Józef, wracając do fabryki, to niewart i promyka od łojowej świeczki. Ale promienie nie dla ślepych na świecie.

## XVIII.

Rozszedłszy się z Józefem, Róża szła szybko, ze zwieszoną głową, z zapuszczoną woalką, nie wiedząc dobrze dokąd idzie, zajęta jedynie swoim postanowieniem. Po rozmowie z Józefem, myśl że jest narzeczoną Tomasza budziła w niej prawdziwą nienawiść, uczucie którego dotąd nie знаła. Kiedy teraz go nienawidzę, cóżby było gdybym została jego żo-

ną? To pytanie podniecało jej energią, popychało do czynu.

Na matkę nie liczyć nie mogła; ojciec nie stawiałby może oporu, lecz i poparcia nie dałby żadnego. Sama więc musiała coprędzej przeciąć węzeł łączący ją z Tomaszem. Ale jak do tego przystąpić?

Najprostszym sposobem list napisać. Takie listy zwykle się piszą krótko, węzłowato, nietrudnoby go zatem zredagować; ale zachodził punkt jeden, który należało wprzód rozstrzygnąć w sumieniu, a sumienie przedstawiało go w rodzaju dylematu. Czuła że robi Tomaszowi zawód, bo zbadala swe istotne uczucia dopiero w ostatniej chwili, że więc nie należy jej się udział w wygranej na loteryi, tém bardziej gdy Tomasz za jej zgodą już tę sumę rozdysponował. Zresztą chciała mu swém zrzeczeniem się dobitnie dać poznać, że nie interes nią powoduje, że gotowa do ciężkiego okupu za zawód serca, za uratowanie swojej niezawisłości. Ale sumienie ukazywało jej także obowiązek i zawód względem rodziców, którzy tyle wysiłku dla niej ponieśli, którzy teraz cieszyli się nadzieją ulgi, a którym znów stanie się ciężarem. Więc nie zrywać z Tomaszem? poddać się losowi? Nie, na to zawiele miała uczucia i energii w duszy.

Józef powiada: idź za głosem serca! on mi tak radzi. — Oczywiście ta droga nie prowadzi do Tomasza, tylko do kogo? Nie domyślał się sam jaki mi cel wytykał, mówiąc w ten sposób. On szczęśliwy z tą swoją swobodą, niepodległością charakteru i serca! Bądź co bądź, zerwę z Tomaszem — i rzucę mu pod nogi tę trochę pieniędzy, które go tak upajają. A z rodzicami zrobię na wzór Józefa: pracować będę od rana do nocy, uczyć Zosię i Stasia, tak iżby nie potrzebowali korepetytora; będę we wszystkiem wyręczała matkę, a w nocy sama się uczyć, żeby lekcjom wydołać, byle rodzicom nie być ciężarem. Pokażę że i ja też coś potrafię. Poradzę się Józefa, jak się wziąć do... albo nie, nic mu nie powiem, zawstydzę go, że źle o mnie sądził. On patrzy na mnie jak na dziecko. Zobaczymy, mój panie.

Podniosła Róża dumnie głowę. Powzięte postanowienie ożywiło ją całą. Pewnym krokiem, z poważną, pogodną twarzą, weszła do domu, zdjęła w milczeniu kapelusz i okrycie i siadła do biurka.

W krótkim czasie, bez podarcia ani jednego arkusza papieru, napisała list tej treści:

„Panie Tomasz! Od dość już długiego czasu rozmyślałam nad tém, jak uwiadomić pana o przedmiocie, który mi wyznać z trudem przychodzi, ale który témbardziej staje się nagłym, im więcej zbliża się termin wyznaczony na nasze połączenie. Czuję iż nie będę mogła być szczęśliwą w tym związku, iż nie potrafię zapewnić szczęścia pana. Żle bardzo z méj strony, że tak późno przychodzę do tego uznania, ale nie chcę dłuższem milczeniem powiększać mojej winy. Daruj pan zawód jakiego jestem przyczyną i przyjm upewnienie szacunku z jakim pozostaję.

Róża M.

P. s. Ponieważ z pańskiej propozycji trzymaliśmy wspólnie na loteryi i ponieważ wygraną sumą już pan rozporządziłeś, a zmiana obecna w położeniu z mojej pochodzi winy, nie sądzę więc iżbym miała prawo do udziału w własności domu, który nabyłeś pan obecnie w imieniu nas obojga“.

Napisawszy i złożywszy ten liścik ręką drżącą z natężenia, moralnego, zawołała swego ośmioletniego braciszka i wyprawiła go do znanego mu dobrze biura pana Tomasza, z zaleceniem żeby się nie zatrzymywał, lecz natychmiast po oddaniu wracał. Potem, poczekawszy minut kilkanaście, poszła uwiadomić matkę o tém co zrobiła i wytrzymać pewno nową, gwałtowniejszą burzę, szczególnież ze względu na treść post scriptum.

Rzucmy zasłonę na te waśni domowe, a przyjrzyjmy się raczej temu, w jaki sposób Tomasz

przyjął swoją dymisyą z obowiązków narzeczonego.

Kiedy mały braciszek przyniósł mu kartkę i położył na biurku, Tomasz był pewny, że to przysłała świekra, jak często, może zbyt często, obarczała go swemi interesami, sprawunkami, lub też żądała pieniędzy. Teraz Tomasz nie był już tak skorym do usług, tak sprytnym w wypełnianiu trudnych często poleceń, a posagu przyszłej swojej żony wcale nie miał chęci uszczuplać. Nie śpieszył się zatem z odczytaniem przyniesionego listu, pisał dalej jakiś referat, dopalając cygare i nie oglądając się nawet, czy Staś czeka, czy odszedł.

Gdy już nadeszła godzina opuszczenia biura, uprzą-tając rozłożone papiery, przypomniał sobie Tomasz o bileciku. Zaczął czytać, nie wypuszczając z ust cygara; ale niebawem przeciął je zębami na dwie połowy, z których część zapalona spadła na ziemię, a druga, mniejsza, o mało do gardła się nie dostała. Cios był niespodziany, jak piorun z jasnego nieba. Tomasz stał ogłuszony, nie wierząc własnym oczom; chciał czytać poraz drugi, ale litery migają mu przed oczami, — nie mógł nic zrozumieć. Siadł napowrót przy biurku, oparł się łokciami, zebrał myśli i zaczął nanowo czytanie. Nie mógł zachować najmniejszej wątpliwości: list był wyraźny, jasny, napisany dobrze znanym Tomaszowi charakterem. Ale co ją spowodowało do tego kroku?

Zdumienie Tomasza było większe niż jego boleść. Zawsze jednak to nagłe zerwanie z wyobrażeniami do jakich przywykł, z kombinacjami, które długo przygotowywał i uważał za pewne, drażnięcie zresztą miłości własnej, mocno go rozjątrzyło. Jego, młodzieńca pełnego tyłu przymiotów, właściciela kamienicy, kandydata na referenta i na inne następne godności, odrzucatak nagle, tak stanowczo, tak dumnie, dziewczyna która, koniec końców, celuje tylko dość gładką twarzyczką i wesołym usposobieniem.

Co jej się stało? jaka może być przyczyna tego wybryku? Niepodobna przypuszczać, rozumował Tomasz, iżby działała bez upoważnienia rodziców; więc chyba matka na mnie obrażona. Tak, wistocie, zabardzo skąpiłem tej babie grosza.... A może to tylko manewr, żeby co zemnie wycisnąć? Ale nie, nie igraliby w tak niebezpieczny sposób; bo i cóż zyskają na tém zerwaniu? Pieniędzy w mojem ręku i odebrać je łatwo im nie przyjdzie. Ale prawda, nawet rzeka się ich Róża. Cóż to może znaczyć? Nic nie rozumiem.

Nowa myśl błysnęła nagle przed oczyma duszy Tomasza. Tak, nie może być inaczej. Jakaś gruba ryba musiała się oświadczyć o Różę, a mnie chcą się pozbyć jaknajprędzej, choćby znacznym kosztem. Ale ktoby to mógł być taki? Długo łamał sobie głowę, przebiegał w myśli wszystkie znajomości Machowskich, lecz nie mógł znaleźć żadnego choćtrochę uzasadnionego przypuszczenia.

— Muszą mi powiedzieć co to znaczy, muszą objaśnić przyczynę takiego postąpienia, zawołał w końcu z gniewem.

Zerwał się pan Tomasz z zadumaną swoją postawą i zapomniawszy nawet zamknąć biurko, pobięgi wprost do mieszkania Machowskich, w którym przez lat kilka tyle godzin przyjemnych spędzał. Tam jednak zastał zupełnie inne położenie niż przypuszczał. Radzca był prawie tak zdumiony jak on, pani radczyni szczerze zasmucona, ubolewająca nad nierozsądnym kaprysem córki, która zamknięta w swem pokoju, nikogo widzieć nie chciała.

Na żądanie rodziców musiała wprawdzie drzwi otworzyć i wyjść do Tomasza, musiała wysłuchać jego prośb i przepraszań, a namów i cierpkich łaj-jan rodziców; ale postanowienia swego nie cofnęła. Postanowiono całą tę sprawę puścić w odwłokę.

(Dalszy ciąg nastąpi).